Nr. 51. Poznań, Niedziela dnia 17 grudnia 1916 Rok XX

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego lub miejsca jego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czterokr. (miesięczn.)	"	15%
" kwartalnem 13 ×	"	25%
" półrocznem 26 ×	"	33⅓%
" rocznem 52 ×	"	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 3087.
Kto popadnie w konkurs, lub się poswoli o należytość zaskarżyć, traci wszelkie prawo do rabatu.

Abonujcie i polecajcie „PRACĘ"

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE
DRUKARNI I KSIĘGARNI SW. WOJCIECHA w POZNANIU.

DLA MŁODZIEŻY.

A s. **Pod jarzmem cezarów.** Powieść historyczna z czasów Hadryana, opracowana dla dorastającej młodzieży. Z 8. ilustr. Stron 180, cena w opr kart. 2,50 M.
Bassara A. St., **Wojciech Bartosz Głowacki.** Powieść historyczna z 12. rycinami M. Artwińskiej. Stron 167. Cena w opr. kart. 2,30 M.
Bogusławska Emma, **Życie mrówek i ich mrowiska.** Stron 61, z rycinami Cena w opr. 90. fen.
Domańska Antonina, **Historya żółtej ciżemki.** Powiastka z czasów panowania Kazimierza Jagielończyka z 11 ryc. Str. 337. Cena w opr. kart. 3,90 M.
Domańka Antonina. **Królewska niedola.** Powieść z czasów Króla Łokietka. Stron 84, z ilustracyami. Cena w opr. 1,70 M.
Domańska Antonina. **Krysia bezimienna.** Opowiadanie z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, z 7. ilustracyami Bogdana Nowakowskiego. Stron 197, Cena w opr. kart. 2,85 M.
Finn Fr. T J **Ofiara dziecka.** Tłumaczyła z angielskiego Stella K. Z 5-ciu ilustracyami J. Bocheńskiego Stron 161, Cena 2,60 M.
Finn, Fr. **Przygody wesołego Tomka.** Za zezwoleniem autora przełożyła Stella Kozłowska. Z 8-miu ilustracyami, stron 352. Cena w opr. 3,60 M.
Hattler Franciszek X. J. **Kwiaty z Bożego ogrodu.** Zbiór legend z życia Świętych. Przetłumaczyła z niem A-D. Str. 295, z 14 obr. Cena w opr. 3,80 M.
Kompf Adam **Nieśmiertelne świeczniki narodu polskiego.** Trzydzieści opowiadań z życia Świętych i Błogosławionych Polaków i Polek. Z 12 ilustracyami, stron 280. Cena w oprawie kart. 3,30 M
Kraszewski I. J. **Waligóra.** Powieść. Z 9-ciu ilustr. Str. 314. Cena w opr. 3,30 M.
Leśniewska A. **Entuzyastka.** Powieść z niedalekiej przyszłości, z 4 ilustrami. Stron VIII. i 212. Cena w opr. kart. 2,60 M.
Leśniewska A **Rycerz.** Powieść historyczna dla młodzieży. Nagrodzona na konkursie literackim Drukarni i Księgarni św. Wojciecha, z 7-miu ilustracyami Bogdana Nowakowskiego. Stron 273. Cena w opr. kart. 3,20 M.
Markowska H. **O królu wężów i o Jaśku.** Baśń tatrzańska. Z 5-ciu chromolitografiami podł. oryg. H. Minkiewicza. Wielkie 4⁰, str. 35. Cena w opr 3,30 M.
Montgomery Fl, **Niezrozumiany.** Przetłumaczyła z angielskiego W. L. Mukułowska. Z rycinami. Stron II i 207, cena w opr. 3,30 M.
Morawska Z. **Na posterunku.** Powieść historyczna na tle życia księcia Józefa Poniatowskiego. Z 5-ciu ilustr. M. Artwińskiej. Str 215, cena w opr. kart. 2,80 M.
Stefański Antoni, **Zwycięstwo krzyża.** Powieść historyczna z czasów Konstantego Wielkiego. Stron 166, z 5-ciu ilustracyami. Cena w opr.(kart. 2,40 M.
Tuchołkowa Stefania, **Dziewica Orleańska.** Powieść historyczna. Z ilustracyami. Stron II i 135, cena w opr 1,75 M.
Zielewiczówna Zofia. **Pogadanki o przyrodzie.** Stron 132. w opr. 1,75 M

BELETRYSTYCZNE.

Buxy B. de. **Zwycięstwo miłości.** Powieść. Za pozwoleniem autora tłumaczyła W. Kędzierska. 2 tomy Stron 192 i 219. Cena 4,50 M.
Champol F. **Siostra Alexandra.** Dzieło odznaczone nagrodą akademii francuskiej. Tłumaczyła za pozwol. autora St. Zakrzewska. Str. 259. Cena 3 M.
Jeske-Choinski. **Błyskawice.** Powieść historyczna z czasów rewolucyi francuskiej. 2 tomy Stron 246 i 273. Cena 6,40 M.
Jeske-Choiński. **Gasnące słońce.** Powieść z czasów Aureliusza. 2 tomy. Wydanie nowe. Stron 276 i 348. Cena 8 M.
Joergensen J. **In Exelsis** (Na wysokościach). Za zezwoleniem autora tłumaczył X. Ign. Geppert. Z licznemi ilustracyami i portretem autora. Stron 218, cena w brosz. 3,50 M., w oprawie całopłóciennej 4,80 M.
Jorgensen J. **Z drogi.** Za zezwoleniem autora tłumaczył Fr. M. Wolański. Z licznemi ilustracyami i portretem autora. Stron 207. Cena w brosz. 3,50 M. w oprawie całopłóciennej 4,80 M.
Korabicz Stanisław. **Kiry i Wawrzyny.** Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego. 2 tomy. Stron 302 i 330. Cena w brosz. 5,40 M.
Widziały to sępy i kruki. Wybór nowel wejennych. Z przedmową Stanisława Lama. Stron XI i 175. Cena w brosz. 2,40 M.
Żmijewska Eugenia. **Dwa spotkania, Skończone, — Dozwolili** — Zbiór nowel. Stron IX i 143. Cena w brosz. 2,40 M.

DZIEŁA RÓŻNEJ TREŚCI.

Dzieje duszy czyli Żywot Siostry Teresy od Dzieciątka Jezus i od Najśw Oblicza Karmelitanki Bosej (1873—1897) przez nią samą skreślony. Listy — Poezye. Tłum. z francuskiego. Przejrzał i uzupełnił X. Dr W Galant. Stron XIV i 506 z 4-ma ilustracyami cena 4 M, w oprawie całopłóciennej 5,60 M.
Emmeram-Glaschröder O. **W pogoni za prawdą.** Listy do przyjaciela. Serya szósta. Drogowskaz życia. przełożył i uzupełnił O. Zenon z Maniowy, kapucyn Stron VIII i 210. Cena 2 M., w oprawie całopłóciennej 2,80 M.
Fitzgerard Wincenty O F. M. **Św. Jan Kapistran.** Za pozwoleniem autora tłum. Marya Rzewuska Z 2 ilustr. Stron 182. Cena 2 40 M., w oprawie 3,20 M.
Jeske-Choiński **Psychologia renesansu włoskiego.** Stron 106 Cena 1,20 M.
„ **W pogoni za prawdą.** Serya 5. Stron 384. Cena 2,80 M., w oprawie całopłóciennej 3,60 M.
Lisiecki A X. **Konstantyn Wielki.** Z 122 ilustr. Str. 200, Cena 7 M, w opr. 9,10 M.
Miś. W. X Dr. **Z Ziemi świętej.** Wspomnienia i wrażenia. Z 8 ilustracyami i planem Jerozolimy Stron 261. Cena 3,40 M., w oprawie całopłóciennej 4,85 M,
Mohl. A. X. T. J. **W pogoni za prawdą.** Listy do akademika, pożyteczne także i dla pań, słuchaczek wyższych kursów. Serya pierwsza — wydanie trzecie Stron 339. Cena 2,20 M., w oprawie całopłóciennej 3 M.
Serya druga, Wydanie trzecie. Stron 328. Cena 2,20 M., w oprawie całopłóciennej 3 M.
Serya trzecia. Wydanie drugie. Stron 345. Cena 2,20 M., w oprawie całopłóciennej 3 M.
Serya czwarta. Wydanie drugie. Stron 365. Cena 2,20 M., w oprawie całopłóciennej 3 M.
Stateczny E. X. (O. F. M.) **Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka z Asyżu** i do literatury franciszkańskiej. Stron 587. Cena 9 M.
Stateczny E. X. (O. F. M.) **Żywot i pisma doktora serafickiego św. Bonawentury.** Stron 231. Cena 3 M.
Stateczny E. X. (O. F. M.) **Żywot św. Franciszka z Asyżu** opracowany na podstawie źródłowych materyałów. Str. 715. Cena 5,60 M. W opr. całopłóc. 7,10 M.
Wierzbiński Maciej R **Ludwik Mierosławski.** Portret. Str. 87. Cena 1,20 M.

Nr. ~~52~~ 51. Poznań, dnia 17-go grudnia 1916 Rok XX.

Abonament wynosi kwartalnie
na poczcie . . 2,00
z odn[illegible]niem do domu 2,12
pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Piekary Nr. [illegible]
Telefon Nr. [illegible]
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Podwyższenie abonamentu na pismo nasze.



Z dniem 1 stycznia 1917 r. abonament „Pracy" wynosić będzie kwartalnie

2,50 mk.

Podrożenie papieru w dwójnasób, ogromny wzrost cen wszelkich materyałów drukarskich i pomocniczych, znaczne podrożenie robocizny przy dotkliwem cofnięciu się dochodów z działu anonsowego zmusza nas do podwyższenia ceny abonamentu „Pracy".

Ociągaliśmy się z tem do ostatniej chwili. Obecnie zmuszeni jesteśmy wstąpić w ślady innych wydawnictw zarówno polskich jak niemieckich, które daleko wcześniej od nas cenę abonamentu swych pism podwyższyły.

Liczymy na wyrozumienie naszych Szanownych Prenumeratorów.

Wiadomo, że niema ani jednego przedmiotu, któryby do dziś dnia zachował cenę przedwojenną. Wszelkie produkta i fabrykaty podniosły się w cenie. Nie brak artykułów, które trzy i cztery razy tyle kosztują co poprzednio, a zwyżka 100 procentowa niemal za normalną uchodzić może.

Tej tendencyi zwyżkowej żadna gałąź produkcyi na dalszą metę oprzeć się nie może.

Wydawnictwo nasze opierało się jej póty, póki starczyły zapasy względnie tanio zakupionego papieru.

Obecnie, z wyczerpaniem się tych zapasów, poddać się musimy konieczności nieuchronnej.

Sądzimy, iż nie potrzebujemy silić się na długie wywody, aby Szanownych Czytelników naszych przekonać o potrzebie i słuszności tego nowego unormowania ceny prenumeraty. Nie o podniesienie zysków, nie o wyzyskanie konjunktury, lecz o zapewnienie bytu pisma chodzi.

Ufamy, że drobne to podwyższenie prenumeraty nawet w najskromniejszym budżecie nie sprawi różnicy, tembardziej, że uwydatniająca się obecnie tendencya zwyżkowa także wartość pracy ludzkiej podniosła w cenie, co się zaznacza w powszechnym wzroście zarobków.

Upraszamy tedy Szanownych Czytelników gorąco, by, zważywszy trudność położenia, pozostali naszemu pismu wierni.

My zaś dołożymy wszelkich starań, by Szanownym Czytelnikom naszym służyć jaknajlepiej i zapewniamy, że uczynimy wszystko, co w siłach naszych, aby ich zadowolić.

Odnawiajcie prenumeratę na nowy kwartał!

Wydawnictwo.



Uniwersytet Jagielloński hołduje Polsce.

Ogłoszenie niepodległej Polski w naszej dzielnicy najsłabsze bodaj wywołało echo.

Przez lata całe powtarzaliśmy hasło „nie łudźmy się", tak konsekwentnie kształciliśmy w sobie zmysł trzeźwości i cnotę przezorności politycznej, tak namiętnie zwalczaliśmy wszystko, co nazywaliśmy romantyzmem politycznym, że w walce z wrodzonym sobie jakoby optymizmem nieopatrznym popadliśmy w drugą ostateczność, w pesymizm przesadny, lubując się w kasandrowych krzykach. Zabiliśmy w sobie, a przynajmniej osłabili, zdolność pogodnego patrzenia na rzeczy. Stłumiliśmy wrażliwość uczuciowości naszej i staliśmy się społeczeństwem jednostajnie smutnem, mało przystępnem dla radości.

Stosunki, w jakich żyliśmy, zrobiły nas takimi, jakimi jesteśmy.

Czyż dziwić się tedy, że w akcie ogłaszającym Królestwo Polskie wyczytano przedewszystkiem wyrok, rzucający ideał najwyższy każdego narodu, ideał niepodległego bytu zjednoczonego narodu, pomiędzy przesądzone?

Czyż dziwić się, że świadomość politycznego odcięcia od reszty narodu, zasępia czoła i to tem bardziej, im większe powstawają obawy co do ukształtowania losu naszego po wojnie, obawy znachodzące w postawie partyj antypolskich uzasadnienie?

Mnogie przyczyny składają się na to, że radość, jaką na myśl odbudowy chociaż pomniejszonej Polski wszyscy bez wyjątku odczuwamy, nie jest ani niezamącona ani też nie uwydatnia się tak głośno i gorąco, jakby to po niemieckiej stronie zapewne wszyscy, a po naszej bardzo wielu życzyło.

To też, ktoby z nastroju uwydatniającego się w naszej dzielnicy chciał sądzić o nastroju całego narodu polskiego, wytworzyłby sobie sąd jednostronny, a zatem mylny.

Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa za kordonami. I to nietylko w byłym zaborze rosyjskim, bezpośrednio korzystającym z tej zmiany szczęśliwej, ale także w zaborze austryackim, mimo, że on podobnie jak nasza dzielnica do nowego państwa polskiego należeć nie będzie, mimo, że i tam inaczej sobie wyobrażano rozwiązanie kwestyi polskiej.

Podczas gdy u nas za jedynym wyjątkiem telegramu arcybiskupiego nie było, rzec można, żadnych manifestacyj z okazyi ogłoszenia państwa polskiego, w Królestwie i Galicyi toczą się one pasmem nieprzerwanem. Odbywają się nabożeństwa i obchody uroczyste, biskupi odzywają się do wiernych, błogosławią nowemu państwu i legionom, rady miejskie i inne instytucye społeczne i kulturalne odbywają uroczystościowe posiedzenia i akademie — słowem, społeczeństwo i wszystkie jego organa biorą jawny i entuzyastyczny udział w wydarzeniach i wyrażają radość z powodu zaszłej odmiany losu narodu.

Ostatnio także Uniwersytet Jagielloński wspaniałym obchodem uczcił nowe państwo polskie.

Mówcą uroczystościowym był hr. Stanisław Tarnowski. W jakim zaś duchu mówił, nie będzie tajne tym, którzy czytali ogłoszony w jednym z ostatnich zeszytów „Pracy" jego artykuł, kończący się wyjątkami z „Te Deum".

Uroczystość zagaił rektor prof. dr. Szajnocha przemówieniem, które dla informacyi czytelników w całości przytaczamy.

Akt proklamacyi wolnego, niepodległego państwa polskiego — mówił rektor uniwersytetu krakowskiego — wstrząsnął całym narodem, całą Polską od Gdańska po Kijów, od Karpat po Niemen i Wiliję. Wstrząsnął potężnie, wstrząsnął radośnie i w tej chwili gwałtownie drgnęły nasze serca, bijące już z niepokoju wśród szalejącej burzy wojennej, która tyle nieszczęść sprowadziła na wszystkie prawie dzielnice Polski, zlane potokami krwi naszej lub zniszczone pożogą bitew i okrucieństwem wroga odwiecznego.

Zaledwie oczy nasze mogą stanowczo uwierzyć temu, co czytamy w manifeście proklamacyjnym, zaledwie możemy wpoić w siebie, że niepodległość Polski przestaje być niedościgłem marzeniem i ma stać się żywą rzeczywistością, zaledwie umiemy zdać sobie sprawę, że odtąd Polska ma mieć znowu własny rząd, własne wojsko, własnego króla.

Jak z lochu czarnego więzień wychodzący po długiej niewoli na słońce jaskrawe, musi najpierw przyzwyczaić oczy do światła, tak i my wszyscy, chociaż tego słońca pragnęliśmy jak własnego życia, chociaż modliliśmy się o nie od lat wielu, musimy najpierw zetrzeć z oczu pomrokę ślepoty więziennej, a potem ogrzać się u ciepłych tego słońca promieni, zanim się w nas umocni wiara w szczęśliwą rzeczywistość, w zorzę nowej, prawdziwej wolności i niepodległości.

Naród nasz od tylu lat powtarzał codziennie: „Ojczyznę, Polskę racz nam wrócić Panie", krwawił się tylokrotnie bezowocnie w bohaterskich porywach i trzeba było niezmiernego wysiłku wiary wewnętrznej, aby nie upaść na duchu i nie zwątpić w sprawiedliwość dziejową nawet wśród huku dział wojny światowej.

Dzisiaj wiara ta niezachwiana ma święcić tryumf zwycięstwa, nadzieje stuletnie mają być ziszczone, Polska ma stanąć wolna i niepodległa wśród innych szczęśliwych od dawna narodów. Wojna światowa, tocząca się na naszych przedewszystkiem łanach, — ma wydać wreszcie owoc



Port w Archangielsku w Rosyi, na prawym brzegu Dźwiny, w którym wydarzyła się dnia 16-go listopada wieczorem straszliwa katastrofa, spowodowana rozruchami robotników portowych. W okamgnieniu cały port stanął w płomieniach, a równocześnie siedem parowców naładowanych amunicyą wyleciało w powietrze. Eksplozya była tak silna, że części okrętów rzucone zostały na odległość 700 metrów od miejsca wybuchu. Przez kilka minut port wyglądał jak wulkan, z którego wylatywały płonące szczątki. Całe urządzenia portowe były poważnie zagrożone. Ogółem 37 wielkich spichrzów zostało zniszczonych. Szkodę, wyrządzoną wybuchem i pożarem, oceniają na miliony rubli. Zginęło na miejscu 159 osób, a 650 uległo cięższemu poranieniu.

oczekiwany, którego mieliśmy prawo pragnąć i żądać. Kwiat wolności jednak wszędzie jeszcze nie zakwitł, jeszcze na części naszej Ojczyzny cięży straszny najazd odwiecznego wroga, i krew się tam leje i płonie ojców naszych spuścizna, ale w Warszawie, tej stolicy stuletniego męczeństwa, już proklamowaną została na zamku królewskim niepodległość i samoistność przyszłego państwa polskiego, a biały orzeł znowu wzlata dumnie nad Wisłą i Bugiem.

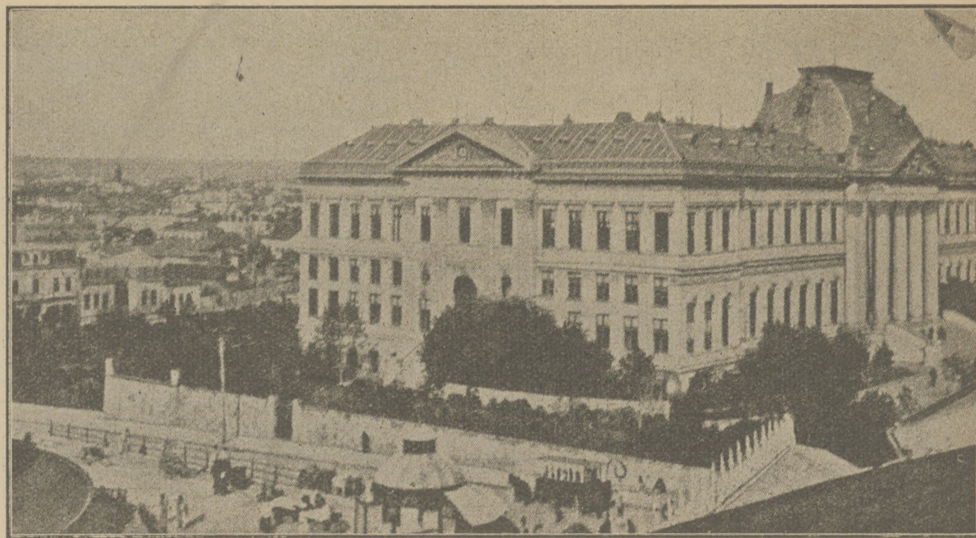
W tej epokowej chwili skupia się cały naród w radości z odzyskanej swobody, w pragnieniu jak najrychlejszej realizacyi i zapowiedzi państwa polskiego, oraz w życzeniu, aby wszystkie dzielnice polskie uczestniczyły w jak najszerszym zakresie w dobrodziejstwach nowego rzeczy porządku.

Uniwersytet Jagielloński, który przez pięć przeszło wieków szerzył we własnym narodzie i w złączonych z nim szczepach oświatę i cywilizacyę, który miał za zadanie zbierać w swych profesorach całą głęboką naukę i wiedzę, a w swych uczniach najlepsze siły przyszłości, łączy się dzisiaj z narodem we wspólnych uczuciach i pragnieniach, pomny swych historycznych zadań, tradycyi i obowiązków.

Przewodnim celem każdej wszechnicy powinna być czysta wiedza i jej rozszerzanie, sumienna i dokładna analiza zjawisk przyrody i ludzkości, oraz szukanie praw rządzących światem i człowiekiem, więc zdala stać musi Uniwersytet od gwaru politycznych dyskusyj. Nie nam zatem należy rozstrzygnąć, czy niespełnienie już teraz wszystkich pragnień naszego kraju w kierunku połączenia wyswobodzonych ziem polskich z naszą dzielnicą pod jednem berłem, może być istotnie zaporą w naturalnym rozwoju życiowym polskiego narodu. Dyskusye polityczne musi w Uniwersytecie zastąpić święty obowiązek przodowania narodowi w miłości Ojczyzny i w niezachwianej wierze w jej szczęśliwą przyszłość. W tem znaczeniu mówił Władysław Jagiełło w dyplomie erekcyjnym Uniwersytetu krakowskiego w roku 1401, że mężowie, dojrzali w radzie, nauką tron królewski wzmacniają: „consilio thronus roboratur regius".

Dzisiaj jesteśmy tego posłannictwa spadkobiercami i już z chwilą powstania nowego państwa polskiego przyczyniać się powinniśmy do jego przyszłej potęgi i siły. Każdy rodzący się nowy twór organiczny wymaga ciepła wewnętrznego i zewnętrznego. Ciepło wewnętrzne, to swobodne krążenie soków i nietamowany niczem rozrost komórek i tkanek. Nowy ustrój państwowy lub społeczny tym samym prawom i potrzebom ulega. On także potrzebuje do swego rozrostu ciepła przenikającego wszystkie tkanki — wszystkie klasy i grupy narodu; on cierpi, gdy nastąpi zastój w jakimkolwiek rzędzie komórek — w jakimkolwiek szeregu czynników społecznych.

Nam więc, którzy mamy obowiązek przodowania narodowi nauką i wiedzą, a zarazem rozumem doświadczenia historycznego, przypada tutaj zadanie pieczy ideowej nad nowym narodem polskiego ustroju, pieczy, któraby łączyła troskę o wszystkie jego części — od Gniezna po Lwów i Wilno — z koniecznością oparcia się o tych, którzy oswobodzili Polskę ze szponów odwiecznego wroga, tworzą nowy ustrój państwowy, zarówno w interesie własnym, jak i prawdziwej cywilizacyi i sprawiedliwości dziejowej.



Widok Krajowy, głównego miasta w zachodniej Wołoszczyźnie,
zajętego przez armię Mackensena. Na prawo pałac sprawiedliwości.

Wiemy dobrze, jak sprawiedliwość leżała zawsze na sercu naszego ukochanego zmarłego monarchy i czujemy też najgłębszą wdzięczność za zapowiedź powstania państwa polskiego, ten akt sprawiedliwości, mądrości i wielkiego ducha, pamiętając, że pod Jego berłem nasza dzielnica Polski od wielu lat już używała swobód konstytucyjnych, a w bliskiej przyszłości ma zyskać dalsze jeszcze rozszerzenie praw swego narodowego i ekonomicznego rozwoju. Proklamowanie niepodległości i samoistności i zapowiedziana możność dalszego narodowego rozwoju, to olbrzymie pole do wielkiej pracy ducha narodowego. Praca ta musi być mądrą i zgodną.

Mądrą, aby, gdy nauka polska pod własnym stanie już sztandarem w kole międzynarodowem, mogła ona wskazać — po za służbą dla własnej Ojczyzny — także na własny prawdziwy dorobek dla całego świata; a zgodną w skierowaniu wszystkich myśli do jednego celu: narodowej potęgi i siły. „Ojczyzna rozdziałów, jako jedno ciało, nie cierpi", mówił Skarga w trzeciem sejmowem kazaniu i dzisiaj też, gdy dostajemy we własne ręce władzę i wolność rządzenia się własnym rozumem, bardziej niż kiedykolwiek o słowach Skargi i potrzebie zgody wewnętrznej pamiętać należy.

W tejże myśli do was się teraz zwracam, kochana młodzieży, z której ciała wyszły dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy, a przedewszystkiem tysiące Legionów polskich, pełnych męstwa, bohaterstwa i chwały. Poczucie potrzeby współudziału bezpośredniego w walce z wrogiem odwiecznym zrodziło polskie Legiony, a z was one przedewszystkiem wyszły, przyczyniwszy się potężnie do okazania światu nienaruszonej żywotności narodu i do wywalczenia niepodległości. Wasi koledzy i bracia bronili Wawelu od najazdu wroga, wyswobodzili Polskę z wiekowej niewoli i dali światu dowód, jak polski żołnierz kocha ojczyznę, jak za nią umie zwyciężać lub ginąć. Ci zwycięzcy razem z wami mają później pracować nad odbudową zniszczonego kraju, nad tworzeniem nowego państwowego ustroju, nad organizacyą własnego wojska polskiego.

Bądźcie więc w tej nowej pracy i silni i jedni myślą. Siłę wytwarza praca, nieraz bardzo ciężka i zmudna, nieraz może nawet niewdzięczna, ale siły potrzeba narodowi polskiemu, siły nowemu państwu, aby miało posłuch i znaczenie u sąsiadów, powagę u obcych. Bądźcie jedni myślą, myślą obejmującą jeden jedyny cel, służby bezwzględnej dla dobra ojczyzny i niechaj zdala od was będzie niewiara chwili, słabość zwątpienia lub oszczędzanie sił na niewiadome jutro. Bądźcie już dzisiaj silni wiarą w konieczność świetnej przyszłości nowego państwa i całego narodu, a wtedy ono nie będzie przechodzić bólów wewnętrznej niezgody i stać będzie godnie ku dobru własnemu i całej ludzkości.

Temu państwu polskiemu, my profesorowie, przyniesiemy w darze naukę i wiedzę, wy — siły młodzieńcze, a wszyscy razem bezgraniczną miłość ojczyzny, która, jak gwiazda przewodnia, wyprowadzi zawsze żeglarza z mgieł zwątpień i oparów chwiejności.

Rzadko się niepoczciwość tak jak zaczynie kończy.

Ignacy Krasicki.



Memoryał posłów Sejmu Czteroletniego

wydał i wstępem opatrzył

Ks. Dr. Jan Siemieński.

Dokument historyczny, którego publikacyę rozpoczynamy, jest memoryałem spisanym przez posłów sejmu czteroletniego dla rządu francuskiego z powodu kongresu rasztadzkiego. Pochodzi on z r. 1797. Ks. dr. Jan Siemieński odnalazł oryginał francuski w papierach biskupa krakowskiego Skórkowskiego i ogłosił go w Revue Slave r. 1907. Obecnie publikuje go w tłumaczeniu polskiem z dodatkiem obszernej przedmowy swego pióra.

W chwili powstawania nowego państwa polskiego, interesującą jest rzeczą dowiedzieć się, jak patryoci polscy w owej epoce zapatrywali się na sprawę rozwiązania zagadnienia polskiego. Uważny czytelnik spostrzeże, że za kardynalny warunek tegoż rozwiązania uznano przywrócenie niepodległości polskiej, podczas gdy kwestya obszaru drugorzędną odgrywała rolę. Liczono się z odbudowaniem Polski z ziem zabranych w zaborze trzecim, a więc mniejwięcej z obszaru ciągnącego się od granic państw centralnych aż do linii frontu wschodniego.

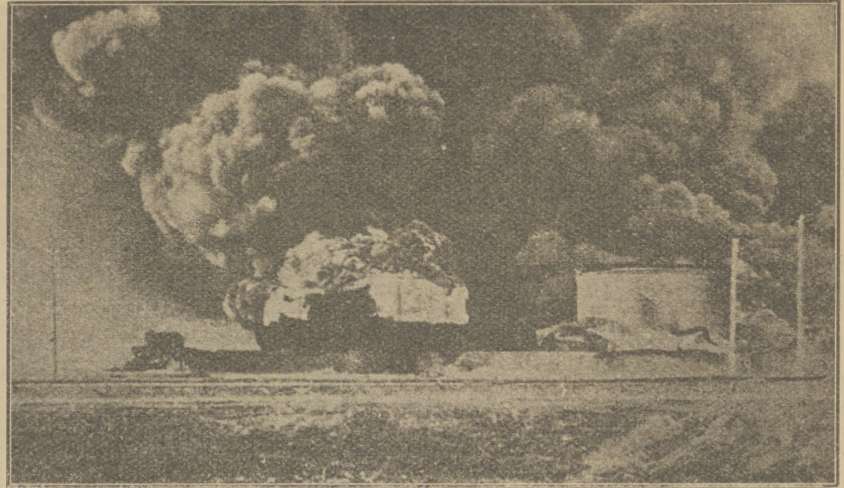
Wstęp.

Dużo pisano o wewnętrznych i zewnętrznych przyczynach upadku Rzeczypospolitej Polskiej, ale mniej są znane wysiłki Polaków podejmowane dla jej obrony, szczególniej w XVIII. wieku.

W zasadzie Polska była uratowaną d. 3-go maja 1791 r., gdyż jej przedstawiciele zrzekli się przywilejów i usunęli dawną, niedorzeczną konstytucyę sprzyjającą upadkowi politycznemu.

Zrozumiano nareszcie, że naród nie chcący się bronić przeciwko nieprzyjaciołom musi uledz i stracić wolność.

Rosya po zawarciu pokoju z Turkami zażądała zniesienia Konstytucyi 3-go maja; parlament polski dał na to żądanie przeczącą odpowiedź. Wojska rosyjskie wkroczyły do Polski. Nastąpiła kampania z 1792 r., bardzo mało znana do tej pory. Dopiero teraz jeden historyków poświęcił jej zbadaniu życie swoje. Dowodzi on, że, idąc za planem przysłanym królowi przez ks. Józefa Poniatowskiego, można było odnieść zwycięztwo nad generałem Kutuzowem; zgromadzone wszystkie siły byłyby przewyższyły jego wojska. Wówczas prowadzono wojnę z jednym tylko nieprzyjacielem, a liczono 45,000 żołnierzy, z których dziesiąta część padła na polu chwały. Król, który od d. 3-go maja nie był już niewolnikiem Rosyi, któremu na nieszczęście powierzono główne dowództwo, nie przyjął planu bratanka, nie chciał narazić się na utratę korony. On to zdradził swój naród, w którym rozbudził się duch rycerski; prosił o zawieszenie broni i rozkazał swym wojskom cofnąć się przed Rosyanami. Następstwem tego był drugi rozbiór Polski. Wtedy to wodzowie wojsk polskich wraz z mężami politycznymi postanowili chwycić za broń, pozostawiając na stronie królewskiego zdrajcę.



Palące się baseny petroleowe w Konstancy.

Kościuszko, który tak w Ameryce jak i w Europie w 1792 r. dał dowody znakomitych zdolności wojskowych, został wybrany naczelnym wodzem i dyktatorem. W roku 1794 rozpoczęła się na nowo wojna i trwała ośm miesięcy (od 24-go marca do 18-go listopada).

Gdy Prusacy i Rosyanie oblegli Warszawę (od 14-go lipca do 6-go września), wszyscy mniemali, że stolica zostanie zajętą, a wojna się skończy. Nie chciano wierzyć, by król pruski przerażony powstaniem polskich prowincyi już dawniej do Prus przyłączonyh, odstąpił od oblężenia straciwszy 15,000 żołnierzy. Ściągnął zaraz z powrotem dwudziestotysiączne wojsko z nad Renu. Wojna z Polską skłoniła go do usunięcia się z koalicyi przeciwko Francyi i do zawarcia z nią pokoju w Bazylei. Zdobycze w Polsce były dla niego o wiele ważniejsze, niż wszystko, co mu mogła dać koalicya.

W ten to sposób Francya i Polska wzajemnie sobie pomagały, mając tych samych nieprzyjaciół. W 1794 r. można już było powiedzieć w Paryżu to samo, co później pisał Lamennais w **Avenir** z 31-go maja 1831 r.: „Polska od kilku miesięcy składa się za nas w całopalnej ofierze.“

Polska za Kościuszki miała podniecający przykład w bohaterskiej Francyi znajdującej się w o wiele trudniejszych od niej warunkach, gdyż miała przeciwko sobie Anglię, Holandyę, Prusy, Austryę i Hiszpanię. Znosząc różnego rodzaju pańszczyzny, rozniecono wśród ludu wielki zapał do obrony ojczyzny. Konwent oświadczył prócz tego, że gotów jest pomagać ludom pragnącym zdobyć wolność (19-go listopada 1793 r.).

Obietnica ta uczyniona po raz pierwszy i poparta zdumiewającemi zwycięztwami wzmogła odwagę i ufność Polaków. Według prof. Korzona, najkompetentniejszego historyka panowania Stanisława Augusta i czasów Kościuszkowskich, Polska za Kościuszki miała 64,000 żołnierzy i 90,000 milicyi miejskiej i wiejskiej, nie posiadającej jednak broni palnej. Wojska te były rozproszone we wszystkich częściach Polski zajętych przez Rosyę i Prusy; walczono wszędzie.

Prusak Treskow opowiada, że stoczono 79 bitew i potyczek, i że prawie zawsze liczba Polaków przewyższała (?) siły pruskie. Świadectwa Rosyanina Pistora i księcia Ad. Czartoryskiego dowodzą tak samo, że ta wojna mogła była się udać.

Naród zatem nie był martwy i z Broughamem mógł był powiedzieć, że Polska upadła, mimo najmężniejszych wysiłków ku obronie swej niepodległości. Raumer, słynny historyk pruski, tajny radca królewski, wykazał sposób postępowania rządu pruskiego podczas rozbioru Polski, a uczynił to ze szczerością przynoszącą mu zaszczyt.

Natychmiast po trzecim rozbiorze Polski w 1795 r. rozpoczęła się maso-

wa emigracya wojskowych i patryotów; jedni chronili się do Wołoszczyzny, inni udali się do Francyi; tu także przybyło kilku posłów sejmowych. Generał Dąbrowski przedstawił rządowi francuskiemu projekt utworzenia legionów polskich. Odesłano go do generała Bonapartego, dowodzącego we Włoszech. W Medyolanie zaczęły zbierać się legiony. Proklamacya Dąbrowkiego ożywiła nadzieje Polaków. Opuszczano rodziny, majątki, które przez to były nieraz konfiskowane, oddawano pieniądze na tworzenie legionów. Między innemi krewna króla Zofia z Czartoryskich Zamoyska ofiarowała dwa miliony. Ogólnie wierzono, że z bronią w ręku legioniści powrócą do Polski. Gdy Bonaparte zwycięzca zbliżył się w 1797 r. do Wiednia, oddział polskich żołnierzy zorganizowany na Wołoszczyznie wkroczył do Galicyi by ją podburzyć i iść złączyć się z Francuzami; został jednak rozproszony. Po pięciu miesiącach legiony liczyły 6000 ludzi.

Gdy legiony dobrze się już zasłużyły rzeczypospolitej francuskiej i włoskiej, generał Dąbrowski powziął zamiar zgromadzić posłów wielkiego sejmu polskiego, który był odroczony, ale nie rozwiązany. Marszałek sejmu i posłowie puścili się w drogę; wynajęto w Medyolanie pałac Sarbelloni na posiedzenia. Rząd francuski sprzeciwił się jednak temu; Barthélemy, członek Dyrektoryatu, utrzymywał, że trzeba coś dla Polski uczynić, ale bez Polaków.

Wtedy to posłowie nie mogąc obradować jako legalne zgromadzenie postanowili przedstawić Dyrektoryatowi memoryał. Dawny pełnomocnik rzeczypospolitej francuskiej w Warszawie, obywatel Bonneau przedstawił ze swej strony rządowi francuskiemu memoryał d. 25-go kwietnia 1798 r.

Memoryał posłów, który po raz pierwszy drukowany był w Revue Slave 1903 r., jest późniejszy niż memoryał Bonneau'a, gdyż w zakończeniu daje streszczenie tamtego, ułożony był jednak w czasie kongresu Rasztadzkiego.

Pełen jest gorących oświadczeń się za wolnością i uczuć patryotycznych, a zarazem jest współczesnem studyum historyi politycznej skreślonem przez mężów stanu i przez finansistów, naocznych świadków opowiadanych dziejów. Będzie on dla historyków niespodzianem światłem jaśniejącem z poza grobu. Nie jest to osobisty pamiętnik lub luźne uwagi, lecz rozważne studyum zredagowane przez ludzi kompetentnych, którzy długo nad niem dyskutowali, zanim się zgodzili na ostateczną jego formę.

Dokument, który drukujemy, jest tylko kopią bez daty i bez podpisów. Nie wiadomo dotąd, gdzie się znajduje oryginał, a zdaje się nawet, że nie był przedstawiony Dyrektoryatowi.

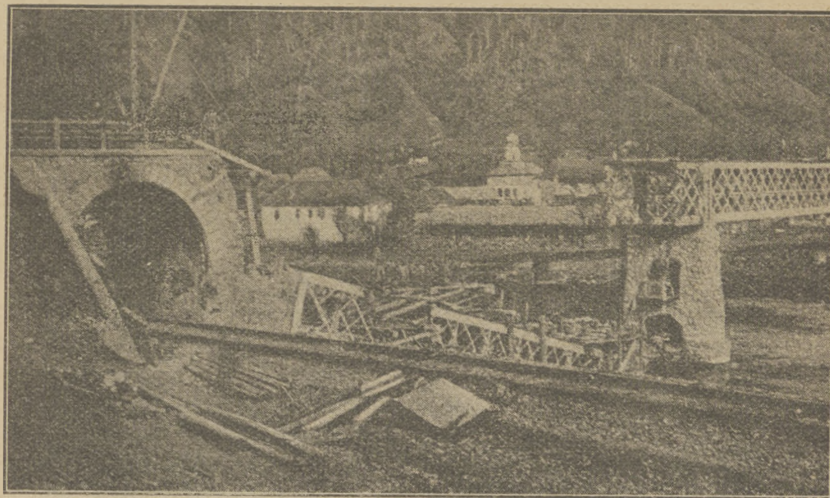
Kopia ta znajdowała się u posła Kazimierza Skorkowskiego zmarłego w 1810 r.; brat jego młodszy, biskup krakowski, zmarły na wygnaniu w 1851 r., odziedziczył ją i przechował w swojem archiwum, które dotąd było nikomu nieznane.

Autorowie memoryału znali dobrze politykę i wiedzieli dokładnie, jakie mogą być granice żądań; znali prócz tego list Bonapartego do Dąbrowskiego z d. 13-go lipca 1797 r., w którym mówił mu, że wszyscy przyjaciele wolności są za Polską, ale że jej losy spoczywają w ręku przyszłości. Nie mogli więc dużo wymagać.

Wiedzieli, że obywatel Caillard, ambasador francuski w Berlinie, od dwóch lat pracował przy królu pruskim, proponując mu sojusz między Francyą, Turcyą, Szwecyą i Danią, aby wskrzesić Polskę choć częściowo i posadzić na jej tronie jednego z książąt pruskich. Gabinet berliński nie odrzucił tych propozycyi z przyczyn niżej podanych, a nawet książę Ludwik Ferdynand był tajemnie przeznaczony na zajęcie konstytucyjnego tronu polskiego. Posłowie godzili się też na tę propozycyą, jak również i na drugą, która zdaje się, została im przedłożona po pokoju w Campo Formio; zasadzała się na mianowaniu królem polskim arcyksięcia Karola.

Nie żądali posłowie, by Rzeczpospolita francuska rozpoczynała znowu wojnę dla sprawy polskiej i dlatego przyklaskiwali pokojowemu projektowi obywatela Bonneau'a, który proponował Austryi i Prusom odszkodowania w Niemczech w zamian za zwrócone polskie prowincye. Prosili tylko, by Francya stanowczo i nakazująco dała poznać interesowanym mocarstwom konieczność odbudowania Polski w sposób najstosowniejszy i najbardziej pokojowy.

Przejęci historyą starożytną, zdawali się mniemać, że kongres Rasztadzki stanie się rodzajem amfikcyonii delfickiej rozsądzającej zamachy na prawa ludów; jeżeli naród skazany wyrokiem amfikcyonii nie był posłuszny, cała konfederacya państw występowała zbrojnie przeciwko zbuntowanemu i wykluczała go z ligi amfikcyońskiej.



Zburzony most kolejowy pod Caineni (po stronie rumuńskiej).

Ponieważ cesarz Paweł nie chciał wojny, sądzono, że podda się decyzyi mocarstw, które jeszcze stały pod bronią. Chodziło więc w tym razie o polubowne załatwienie sprawy obszaru ziem polskich: mógł on być mniejszy lub większy, byle był niezależny.

Przyszłość rozwiała te szlachetne marzenia aż do r. 1806.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nieco o koloniach angielskich.

Nadchodzące z Anglii wiadomości wskazują, iż pod wpływem wojny obecnej wzmacnia się w Anglii kierunek konserwatywny, mianowicie zaś prądy unionistyczne coraz to większą cieszą się popularnością.

Jestto objaw ważny i niezmiernie doniosły.

Dotychczas Anglicy, a mianowicie szerokie warstwy ludności angielskiej, hołdowały zasadzie wolnohandlowej. Wszelkie zabiegi Chamberlaina, zdążające do przeprowadzenia unii na podstawie systemu celnego rozbijały się o ten nastrój ludności, która w handlu wolnym upatrywała paladyum pomyślności angielskiej.

Aby zrozumieć ważność idei unionistycznej zdążającej do ścisłego związku gospodarczego pomiędzy Anglią a je, koloniami, możliwego tylko wtenczas, jeżeli Anglia odwróci się od dotychczasowego dogmatu wolnohandlowego, należy się rozpatrzeć w stosun[illegible] kolonij angielskich. Rzucają się tam w oczy znaczne rozbieżności interesów.



Oyama umarł.
„Fr. Ztg." otrzymała z Hagi wiadomość, że umarł marszałek polny książę Oyama, dowódzca wojsk japońskich w wojnie rosyjsko-japońskiej.

Tak np. Kanada posiada w swej ludności w znacznej części katolickiej i francuskiej silny element odśrodkowy, materyał podatny do wytworzenia własnej kanadyjskiej narodowości, a co za tem idzie także skłonny do tendencyj niepodległościowych w dziedzinie państwowej. Sąsiadując ze Stanami Zjednoczonemi, silne są w Kanadzie wpływy gospodarcze tegoż państwa. Wprawdzie system celny protekcyjny Stanów niekorzystny dla Kanady przeciwdziała zespoleniu się Kanady z Unią amerykańską, jednakże faktem jest, iż handel amerykański prędzej i silniej się rozwija w Kanadzie niż angielski. Drugim pewnikiem jest, iż w stanie obecnym Kanada w razie wojny Anglii z Ameryką byłaby dla Anglii stracona. Przyszłość tego kraju polega na jego żyznych i lesistych obszarach rozciągających się na przestrzeni równającej się Rosyi europejskiej co do obszaru na południowym wschodzie. I właśnie w tych częściach Kanady nie osiedlają się Anglicy, lecz Amerykanie. Już trzecia część ludności tamecznej pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Ta ludność zaś niema żadnego interesu w przynależności politycznej do Anglii. Będzie ona parła bądź to w stronę Stanów Zjednoczonych, bądź pójdzie na rękę tendencyom zdążającym ku uzyskaniu zupełnej samoistności, a znachodzącym w materyale ludnościowym kanadyjskim przesłanki ku temu sposobne. W każdym razie groźbą dla Anglii byłaby zmiana amerykańskiego systemu celnego. Tak tedy nie można powiedzieć, aby widoki dla umocnienia i dla trwałości panowania angielskiego w Kanadzie szczególnie były korzystne.

Korzystniej dla Anglii przedstawiają się sprawy w Australii. Już ludność prawie czysto angielska przedstawia materyał pewny. Brak silnego państwa rasy białej w sąsiedztwie najbliższem stanowi dalsze upewnienie stanowiska angielskiego. Jednakowoż słabym punktem tej pozycyi jest bliskość Japonii i ekspansya japońska w tej części Pacyfiku. Wiadoma, że Japonia dąży do panowania na Oceanie Spokojnym, a geograficzne położenie jej czyni ją drugą Anglią na Wschodzie. Obecna wojna dała jej w sąsiedztwie Australii przez zdobycie kolonii niemieckich przyrost nie mały. Jakkolwiek Anglia i w Pacyfiku trzyma wrota wpadowe w silnem ręku, jakkolwiek i Ameryka ze względu na Filipiny i wyspy hawajskie, a nawet na wschodnie wybrzeże kontynentu zagrożonego przez zachłanne apetyty japońskie nie mogłaby patrzeć obojętnem okiem na rozrost potęgi państwa wschodzącego słońca, to jednak z tej strony grozi Australii poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to zmusza Australię do szukania oparcia w Anglii. Jednakże im ono większe, z tem większą niechęcią spoglądać muszą Australczycy na politykę angielską opierającą się na sojuszu japońskim i bynajmniej nie wykluczony zdaje się być w przyszłości taki obrót spraw, który Anglię stawi przed alternatywę: albo zrzec się sojuszu z Japonią albo też stracić Australię. Jakkolwiek na razie Australia politycznie silnie stoi przy Anglii, to jednak uwydatniająca się tam dążność obronna przeciw wciskającym się fabrykatom angielskim na rynki australskie musi być uważana jako moment niepomyślny dla planów ściślejszego zbliżenia gospodarczego pomiędzy tą silnie przemysłową kolonią a krajem macierzystym.

Jeszcze inaczej przedstawia się położenie w Afryce Południowej. Ludność biała jest tam stosunkowo nieliczna i na dobitkę narodowo rozdarta przez antagonizm pomiędzy Anglikami a Burami. Bez siły roboczej czarnych kolonie tameczne ze względów klimatycznych obyć się nie mogą. I tu podobnie jak w Australii odkrycie min złota i pól dyamentowych wytworzyło znaczny przemysł. I tu wciska się kuli chiński i japoński, a proteguje go rząd japoński. Podczas jednak gdy Australia politycznie grawituje ku Anglii, w Afryce Południowej istnieją podobne stosunki co w Kanadzie pod tym względem, z tą tylko różnicą, że tendencye separatystyczne są tutaj znacznie silniejsze. Potężna partya pracuje nad zupełnem usamodzielnieniem kraju i jak wiadomo Transval i Oranje już samorząd zdobyły. Połączenie się państw południowo-afrykańskich w państwo związkowe zdaje się być tylko kwestyą czasu, a wtedy się pokaże, czy Anglia będzie zdolna utrzymać swe panowanie w przeciwieństwie do partyi Afrykandrów zmierzających do niepodległości. Także gospodarcze interesy Afryki Południowej sprzeciwiają się ściślejszej unii z Anglią.

Rozpatrzywszy się w tych stosunkach widzimy, iż położenie Anglii jako państwa kolonialnego bynajmniej nie jest tak świetne jak się to na pierwszy rzut oka przedstawia, a na obraz ten padają jeszcze osobne cienie, jeżeli się

zważy stosunki panujące w Indyach i Egipcie, gdzie niezadowolenie z panowania Anglików jest wielkie i stałe. Mianowicie Indye, gdzie panowanie angielskie utrzymuje się dzięki antagonizmom hindusko - mahometańskim, jak są najdrogocenniejszą perłą w koronie angielskiej, tak z drugiej strony są piętą Achilesową światowładnej Anglii. A i tam są przy robocie wpływy japońskie, a nadto ciąży nad tym krajem groźba z północy: Rosya, z którą może rychlej niż z Japonią będzie Anglia musiała skrzyżować szpadę.

Zdaje się więc, że wzmagający się obecnie kierunek unionistyczny w Anglii, jakkolwiek wielkie i rozliczne są trudności sprzeciwiające się urzeczywistnieniu jego postulatów, jest wynikiem coraz lepszego zrozumienia żywotnego interesu imperyum angielskiego jako mocarstwa światowego. Niełatwo bowiem na innej drodze dokonać konsolidacyi poszczególnych części państwa z państwem macierzystem, zaś dalsze pozostawienie obecnego luźnego związku kolonij z Anglią mogłoby pociągnąć za sobą w przyszłości skutki bardzo niepożądane.

Nie brakło też zapewne polityków, którzy przy wybuchu wojny obecnej liczyli się z trudnościami, jakie wyniknąć mogły były dla Anglii z tego stanu rzeczy. I przypuścić wolno, że w Anglii były pod tym względem obawy niemałe. Jak dotad jednak okazały sie one płonnemi. Podobnie jak za czasów wojny burskiej, tylko w bez porównania wydatniejszej mierze, popierają kolonie angielskie wysiłki kraju macierzystego. Patryotyzm ich i solidarność wyższe są ponad wszelkie podejrzenia. A co najciekawsze, to fakt, iż najwięksi naturalni przeciwnicy Anglii: Japonia i Rosya walczą po jej stronie...



Bukareszt, stolica Rumunii,
zajęta przez wojska państw centralnych i ich sprzymierzeńców.



Polska powstaje...

Polska powstaje... jakąż piorunową
moc ma to słowo, ile dziwnej treści!
Czy wy czujecie to promienne słowo?
wiecież wy, co się w dźwięku owym mieści?
Czy wy to słowo dobrze rozumiecie,
co, jako piorun, dziś leci po świecie?

Polska powstaje, Polska żywa... żali
to cudne słowo w duszach wam oddźwięknie
i żali w sercach płomienie rozpali?
To już nie frazes, co wykwita pięknie
na ustach mówcy, jak strzelista raca,
lecz długa, znojna i ofiarna praca!

Polska powstaje... na skrzydłach swych bieli
niesie ją ku nam od śniegów Sybiru
nasz anioł smętny, srebrzysty Anhelli
z jasnych jej ramion welon spada z kiru —
a więc krzyknijmy jej: hosanna! z wnętrzy,
serc i przyjmijmyż godnie dar najświętszy!

Polska powstaje — słyszycie — powstaje!
krwią wywalczona, tęsknotą wyśniona,
strojna w koronę, strojna w gronostaje...
Do stęsknionego przyciśnijmyż łona
ptaka białego i niech w słońce leci,
na sławę naszą i przyszłych stuleci!

Polska powstaje... o nastrójcież serca,
by każde dzwonem było, złączcież dłonie!
Kto bluźnił wczoraj, dziś już nie bluźnierca;
kto nienawidził, miłością rozpłonie —
gdy pod Piastową dzisiaj strzechą nizką
błogosławieństwo wita nad kołyską!

Polska powstaje, córa wojny krwawa!
Nad jej kolebką pamiętajcie jedno:
że w sercach waszych jej granice, prawa!
jej szczyt wielkości, upadku bezedno:
że taką będzie, jaką ją stworzycie — —
więc Sursum Corda... przez groby po Życie!

Józef Relidzyński.



Utworzenie prowizorycznej Rady Stanu w Królestwie Polskiem.

Proklamacya z dnia 5-go listopada 1916 r. poręczyła utworzenie niezależnego Królestwa Polskiego. Przygotowanie do urzeczywistnienia tego słowa cesarskiego i uczynienie tego ważnego kroku dla stworzenia państwowości polskiej ma na celu opublikowane na podstawie porozumienia rządów niemieckiego i austro-węgierskiego rozporządzenia z dnia 26-go z. m. o utworzeniu Rady Stanu w Królestwie Polskiem. Obszerne prace przedwstępne, niezbędne, by na podwalinach nowoczesnego państwa konstytucyjnego, z uwzględnieniem faktycznych stosunków kraju, powołać zdolną do życia państwowość, mają być przedsięwzięte łącznie z wybitnymi przedstawicielami społeczeństwa polskiego.

Rozporządzenie stwarza prowizoryum. Rada Stanu, utworzona z mianowanych członków, ma, jak to głosi wyraźnie rozporządzenie, przygotować wybory wspólnego dla obu obszarów administracyjnych Królestwa przedstawicielstwa narodowego, z którego powołaniem, ustają mandaty prowizorycznej Rady Stanu. Rada Stanu reprezentuje obie części administracyjne, obszar niemiecki i austro-węgierski, wspólnie, gwarantuje zatem jednolitość ważnych zarządzeń w dziedzinie prawodawstwa i administracyi.

Główne punkty rozporządzenia są następujące:

Do Rady Stanu, na mocy rozkazu Cesarskiego, obaj jenerał gubernatorzy powołują razem 25 członków, w tem 15 — z niemieckiego i 10 z austryackiego terytoryum okupacyjnego.

Rządy okupacyjne są reprezentowane w Radzie Stanu przez komisarzów. Pierwsze posiedzenie będzie zwołane przez obu stałych komisarzów rządowych.

Rada Stanu wybiera większością głosów ze swego grona przewodniczącego, który nosi tytuł Marszałka Koronnego i wyznacza dalsze posiedzenia.

Rada Stanu uchwala sama swój re-

gulamin i wybiera komisyę kierowniczą.

Posiedzenia tego ciała nie są publiczne, jednakże sprawozdania będą prasie dostarczane, aby szerokie warstwy narodu o działalności Rady Stanu były informowane.

Zadania Rady Stanu są największej



Kobiety w przemyśle wojennym.
Transportowanie 15 cm. pocisków działowych.

wagi dla przyszłości państwa polskiego. Rada Stanu powołana jest przedewszystkiem, aby współdziałać w stworzeniu dalszych państwowych urządzeń w Królestwie Polskiem i we wszystkich sprawach prawodawstwa z inicyatywy zarządów administracyjnych dawać opinię. Mianowicie powinna Rada Stanu przygotować utworzenie polskiego zarządu państwowego i, jak już wspomniano, projekty rozporządzeń wypracowywać, przez co wspólne przedstawicielstwo narodowe obu obwodów okupacyjnych Królestwa Polskiego będzie uregulowane.

Obok tej ważnej działalności w dziedzinie państwowej organizacyi Polski, służy Radzie Stanu prawo inicyatywy przedstawiania w sprawach krajowych wniosków. Wskazane Radzie Stanu ważne stanowisko oznacza, bez zastrzeżeń, udział w przygotowaniach dla utworzenia armii polskiej, która przecież tworzy jedną z podstaw wolnego państwa. Radzie Stanu przekazane zostaje wreszcie ważne zadanie uleczyć rany wojny, ożywić kraj gospodarczo i zarządzać wpływami pieniężnemi udzielonemi jej dla tych celów ze środków krajowych do rozporządzenia.

To wielce ważne rozporządzenie, które ze świadomą celu szybkością kładzie mocną podwalinę dla rozwoju polskiego bytu państwowego, należy się spodziewać, zmusi do milczenia nieprzyjazne dla Niemiec głosy za granicą, które z łatwych do odgadnienia pobudek podają w wątpliwość poważną wolę rządów sprzymierzonych przywrócenia Polski.

* * *

Chłopi Królestwa Polskiego do Ojca świętego.

Narodowy Związek Chłopski wystosował następującą depeszę do Papieża.

Do Jego Świętobliwości Papieża Benedykta XV.

Ojcze Święty!

Zgromadzeni w dniu 26-ym listopada 1916 roku w stołecznem mieście Warszawie na pierwszym wolnym Zjeździe Ludowym ze wszystkich okolic Niepodległego już Królestwa Polskiego, włościanie i przedstawiciele innych stanów, Tobie, Ojcze Święty, składamy hołd czci i wdzięczności za to, że Stolica Apostolska, w ciągu przeszło stuletniej okrutnej niewoli moskiewskiej, stale i niezmiennie naród nasz w Swej opiece miała, a w czasie wszystkich powstań ojców naszych przeciw okrutnemu jarzmu nietylko przed Bogiem orędowała za nami, lecz i u mocarzy ziemskich kołatała o sprawiedliwość i wolność dla uciemiężonego narodu.

Przeświadczeni, że tryumf oręża mocarstw centralnych wskrzeszający Polskę do Niepodległego bytu państwowego, jest jednocześnie tryumfem Kościoła rzymsko-katolickiego, tępionego przez schyzmę wschodnią, zapewniamy Ciebie Ojcze Święty, że naród nasz, przetrwawszy najcięższe katusze niewoli, siłą swej wiary rzymsko-katolickiej, będzie Twego Chrystusowego Kościoła ostoją na najdłuższe czasy zmagania się zła z dobrem na ziemi, będzie, jak przez dawne wieki, przedmurzem świętego Kościoła i Europy przeciw zaborczości wschodniej schyzmy.

Więc dziś, gdy losy wojny jeszcze się ważą, błogosław, Ojcze Święty, Polsce, wychodzącej z grobu na wolność, błogosław orężowi polskiemu i wymódl u Pana Zastępów dzielnego króla, któryby to wskrzeszone państwo nasze z ruiny umiejętnie odbudował i sprawiedliwe a rozumne rządy w nim sprawował na chwałę Boską, na pożytek Kościoła i dusz naszych, a na ziemskie szczęście wszystkich synów Ojczyzny naszej.

Jako czułe dzieci garniemy się do Ciebie, Ojcze Święty, ożywieni wiarą, że, jako Najlepszy Ojciec, wysłuchasz i wspomożesz nas w dniu naszej radości tak, jak wspomagałeś nas w dniach naszego smutku, żałoby i bólu.

* * *

Wyodrębnienie Galicyi.

W miarodajnych kołach pracują obecnie nad projektem dotyczącym wyodrębnienia Galicyi. Z galicyjskich mężów stanu w pracy tej biorą udział dr. Bobrzyński, Biliński i hr. Gołuchowski. Na czele rządu stanie osobistość z tytułem kanclerza. Według dotychczasowych dyspozycyj na stanowisko to powołany ma być hr. Gołuchowski.

* * *

Błogosławieństwo dla Legionów.

Hr. Szeptycki komendant Legionów Polskich, otrzymał list od Maryi hr. Kwileckiej z Oporowa, rodzonej wnuczki Dąbrowskiego, która, wiążąc tradycye Legionów swego dziadka z Legionami dzisiejszemi, przesyła błogosławieństwo młodemu wodzowi.

List brzmi, jak następuje:

Oporów, 1. grudnia 1916 r.

Łaskawy Hrabio!

Czy wiadomem Ci jest, że żyje jeszcze na tej ziemi rodzona wnuczka Dąbrowskiego (po kądzieli) i czy domyślasz się, jak gorączkowo śledzi dalszy rozwój Legionów? Wyobrazić sobie można, z jakiem uczuciem radości dowiaduje się, że to właśnie Ty panie Hrabio, obejmujesz naczelne stanowisko i zastąpisz Dziadka mego.

Nie mogę wyliczać, a zresztą byłoby zbyteczne opisywać wszystkie odcienia mych uczuć. Jedno może wystarczy, że z matką znałam się „choć krótko, lecz wiele" i że od tego czasu nieprzerwanie czułam się zbliżona do wszystkich Jej bliskich.

W imieniu więc matki Pana i Dziadka mojego, ośmielam się, jako 80-letnia staruszka, prosić Boga o błogosławieństwo hojne na głowę młodego wodza i na dzieła Jego. Jeszcze Polska nie zginęła, póki My żyjemy! Nieprzer-

wanym dawnym hymnem zawsze się łączymy.

Marya z Mańkowskich Kwilecka.



Polskim żołnierzom.

Ustroim kiedyś w cudną wspomnień sławę
Wasze proporce i pałasze rdzawe
A z imion waszych będziem poczet święty
Czcić, jako krwawe Polski sakramenty;

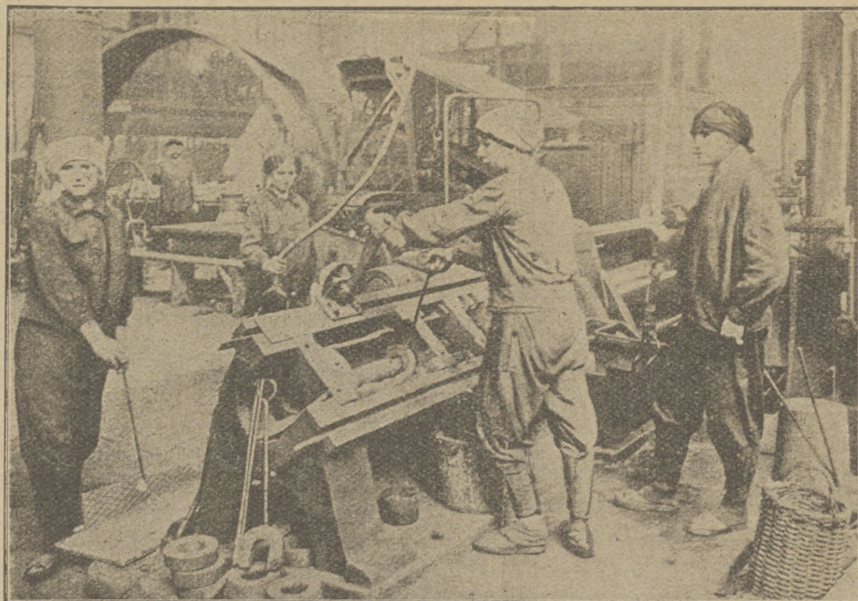
Bowiem w dzień siejby — dzień, mozołem długi,
O wasze kości dźwięczną nasze pługi
I w proch krwi waszej — rzucim w ziemię czarną
Dla nowej Polski, złote, polskie ziarno.

J. Pietrzycki.



Na widowni wojny.

Najważniejszym wypadkiem ostatnich dni jest zajęcie przez wojska państw centralnych i ich sprzymierzeńców stolicy rumuńskiej, Bukaresztu. Pochód na Bukareszt odbywał się raptownie z dwóch stron, od północy i od południa. Od północy atakowały wojska państ centralnych pod wodzą byłego ministra wojny i do niedawna szefa niemieckiego sztabu jeneralnego Falkenhayna, a od południa dokonał, znany już z dawniejszych swych operacyj na froncie rosyjskim i w Dobruczy, jenerał Mackensen przejścia przez Dunaj. Rzeka ta jest w tej okolicy, w której przejście uskuteczniono, bardzo szeroka i trudna do przebycia, tak, że ogólnie panowało mniemanie, iż wojska niemiecko-bułgarskie stojące w Dobruczy o przejście na drugi brzeg się nie pokuszą. Tego zdania byli też widocznie Rumuni i dlatego nie zarezerwowali dostatecznych sił dla przeszkodzenia zjednoczonym armiom niemiecko-bułgarskim w tem śmiałem przedsięwzięciu. Skutek był ten, że przejścia dokonano bez wielkich trudności, a potem podsunął się Mackensen w szybkim marszu aż pod sam Bukareszt, zagrażając tyłom armii rumuńskiej znajdującej się na Wołoszczyźnie. Obrona stolicy stała się niemożliwą, a dla Rumunów pozostała tylko możliwość szybkiego odwrotu na wschód. Odwrót ten dokonuje się jeszcze, a wojska państw centralnych ścigające Rumunów biorą licznego jeńca i łup, to też liczba jeńców rumuńskich wzrosła z 100,000 na 123,000. Broń składają całe dywizye. Liczba byłaby o wiele większą gdyby nie okoliczność, iż wielu żołnierzy podczas odwrotu zamienia mundury na ubrania cywilne. Poza tem zwycięstwa niemieckie w Rumunii przyniosły w udziale zwycięzcom znaczne zapasy zboża, mydła i nafty.



Kobiety w przemyśle wojennym.
Nabój działowy na tokarni.

Zajęcie stolicy rumuńskiej w trzy miesiące po wypowiedzeniu wojny przez Rumunię stanowi zwycięstwo państw centralnych, na które kierownictwo strategiczne szybkich i pomyślnych operacyj w Rumunii może być dumne.

Zajęcie Bukaresztu przez Niemców wywarło równocześnie w państwach czwórporozumienia wielkie wrażenie. Z jednej strony odzywa się głośne napiętnowanie błędów strategicznych i politycznych, popełnionych na Bałkanie, z drugiej strony zaś cios ten pobudza najwidoczniej koła kierownicze czwórporozumienia do podjęcia największych wysiłków celem naprawienia złego.

Rozpoczęta w ostatnim czasie dywersya rosyjska w Karpatach i Dobruczy nie wywiera wpływu na operacye w Wołoszczyźnie. Dopóki tutaj Rosyanie nie wesprą armii rumuńskiej znacznemi posiłkami, nie mają tego rodzaju działania w warunkach obecnych szczególniejszego znaczenia.

Nie wiele większą wagę posiadają obecnie ataki Sarraila.

Nad Sommą nastąpiła po ostatnich atakach Anglików celem zbliżenia się do Bapaume od zachodu przerwa, trwająca już przeszło dwa tygodnie i zdaje się, że tegoroczna bitwa między Ancre i Sommą w dawnej swej gwałtowności już się nie odnowi.

Na froncie wschodnim od Bałtyku do Dniestru panuje względna cisza, poza frontem odbywa się przesuwanie posiłków do Rumunii. Czy generał Brusiłow lub Russki rozpoczną raz jeszcze przed zimą ofenzywę, jest wątpliwem.

Wielką troskę sprawia koalicyi rozwój wypadków w Grecyi. Wypadki, jakie się w ostatnich dniach rozegrały w stolicy greckiej, zdają się to przypuszczenie potwierdzać. Rząd grecki bowiem odrzucił ostatnie żądania koalicyi, wydania broni, jaką posiada wojsko greckie, a gdy alianci chcieli użyć siły, napotkali w Atenach niespodziewanie na zbrojny opór. Polała się krew, a skutek był ten, że alianci cofnęli swe wojsko na okręty i zredukowali swe żądania. Informacye o dalszym rozwoju wypadków, pochodzące z jednostronnych źródeł koalicyjnych, są bardzo niejasne. Tyle jest tylko pewnem, że stosunek Grecyi do koalicyi zaostrzył się poważnie, jeśli koalicya chwyta się tak ostatecznego środka, jak blokada, by przez odcięcie wszelkiego dowozu do Grecyi zmusić ją do ustępstw.

Sensacyę polityczną wywołało w świecie przesilenie w angielskim gabinecie ministeryalnym. Ustąpił prezes ministrów angielskich Asquith, a przewodnictwo po nim objął Lloyd George, którego energia i inicyatywa stanowią silny bodziec do dalszych wysiłków koalicyi. Mimo licznych trudności Lloyd George utworzył szybko nowy gabinet. Partya robotnicza powzięła uchwałę

popierania Lloyda Georga. — „Weekly Dispath“ pisze, że program nowego prezesa ministrów angielskich obejmuje następujące punkty: Uzbrojenie okrętów handlowych, przygotowanie do ofenzywy na wiosnę, mobilizacyę osób cywilnych pomiędzy 16 i 60 rokiem życia, zarządzenie w celu sprawienia, by blokada Niemiec była skuteczna, i wydawanie kart żywnościowych.

Wielkie wrażenie wywrze tak we Francyi jak też po za jej granicami ustąpienie generalissimusa Joffre'a ze swego stanowiska. O ustąpieniu zapewnia „Journal de Geneve.“

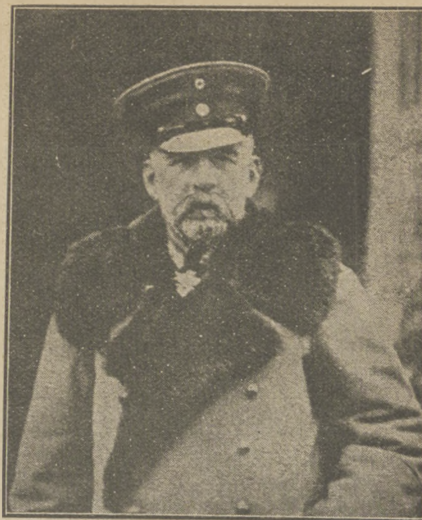
Z walk na morzu donoszą gazety o coraz częstszem zatapianiu statków przez niemieckie łodzie podwodne.

Pod nagłówkiem „Dziesięć okrętów dziennie“ zamieszcza w tej sprawie „Daily Mail“ artykuł, w którym pisze: Dzisiaj na naszych łamach podajemy 15 nazwisk jako ofiary niemieckich łodzi podwodnych. W sobotę donosiliśmy o 7 zatopionych okrętach, w piątek o 10, w czwartek o 7, a w środę o 12. Niemcy więc dochodzą już do zatapiania przeciętnie 10 okrętów dziennie, jeżeli liczby tej już nie przekroczyli; jest bowiem rzeczą możliwą, że nie wszystkie nazwy zatopionych okrętów dochodzą do wiadomości publicznej. Na stratę 10 okrętów dziennie nie można dalej obojętnie patrzeć. Dzięki naszej dzielnej obronie traciliśmy w zeszłym roku przeciętnie jeden okręt, dzisiaj znajdujemy się w bardzo niezadowalającem położeniu. Niebezpieczeństwo łodzi podwodnych zagraża podstawom naszego życia narodowego, musimy je pokonać albo ono może nas pokonać.

Handlowa łódź podwodna „Deutchland“ wróciła dnia 10-go b. m. ponownie z Ameryki do Warnemünde.

Myśl pokoju przebija się coraz bardziej przez huk dział i karabinów. Świeżo donoszą urzędowo o propozycyi pokojowej cesarza Wilhelma co następuje: „J. Ces. Mość wydał do wojska niemieckiego następujący rozkaz: Żołnierze! W poczuciu zwycięstwa, które przez Waszą waleczność wywalczyliście, zrobiłem ja i monarchowie wiernie sprzymierzonych państw nieprzyjacielowi propozycyę pokojową. Czy cel z tem związany zostanie osiągnięty, to się dopiero pokaże. Wy macie w dalszym ciągu z pomocą Bożą stawiać czoło nieprzyjacielowi i go pobić. Wielka kwatera główna, 12. XII. 1916. Wilhelm I. R.“

Równocześnie kanclerz Rzeszy zawiadomił parlament na nadzwyczajnem posiedzeniu dnia 12-go b. m., że z polecenia cesarza i za pośrednictwem państw neutralnych wystosował notę urzędową do wszystkich rządów nieprzyjacielskich z propozycyą rozpoczęcia natychmiast bezpośrednich rokowań pokojowych. Taką samą notę wysłały rządy w Wiedniu, Konstantynopolu i Sofii.



General Bernhardi,
były zastępca komenderującego generała 5 armikułu, obecnie dowódzca jednej z armij na Wschodzie, odznaczył się w bitwach koło Kowla.

Po przemówieniu kanclerza parlament odroczono.

Cesarz odznaczył marszałka polnego Hindenburga jako pierwszego z generałów, dekorując go Wielkim Krzyżem orderu Żelaznego Krzyża. Zarazem wystosował cesarz pismo odręczne, w którem podnosząc zasługi marszałka około zwycięstwa w Rumunii, wyraża jemu oraz pomocnikom jego podziękę. Marszałek polny Hindenburg wystosował dnia 11-go b. m. po codziennym referacie o położeniu wojennem jako najstarszy czynny generał armii pruskiej do cesarza imieniem armii prośbę, by zechciał sam założyć wielki krzyz żelaznego krzyża. Marszałek Hindenburg wskazywał przy tem na to, jak wiele armia zawdzięcza swemu wodzowi najwyższemu w tym ważnym czasie.



Hr. Wedel,
nowo mianowany ambasador niemiecki w Wiedniu.

Cesarz raczył następnie zadośćuczynić prośbie marszałka.

13. XII. 1916.



Zastraszające cyfry.

Żydzi w Polsce.

Ludność żydowska, która w Prusach wschodnich wynosi 0,6 proc. ogółu ludności, w Prusach zachodnich 0,9 proc., w prowincyi Poznańskiej i na Górnym Śląsku 1,5 proc., w Galicyi zachodniej 8 proc., w Galicyi wschodniej i w gub. Wołyńskiej na Podolu i w gubernii Kijowskiej około 12 proc., zaś na Litwie prawie 14 proc., w Królestwie Polskiem dochodzi do 14,64 proc. ludności kraju, i reprezentuje w nim cyfrę około 2 600 000 dusz. Ze wszystkich ziem dawnego Królestwa Polskiego odsetek ludności żydowskiej najwyższy jest więc w Królestwie Kongresowem. Ludność ta rozmieszczona jest w Królestwie Polskiem w ten sposób, iż w gminach wiejskich mieszka jedynie 2,4 proc., zaś w miastach i miasteczkach (osadach) 97,6 proc. ogółu tej ludności.

W miastach tworzą żydzi przeciętnie 40,2 proc. mieszkańców, przyczem stosunek procentowy w poszczególnych okręgach gubernialnych jest na ogół niejednomierny. I tak w gubernii siedleckiej odsetek żydów mieszkających w miastach i miasteczkach wynosi 64 proc., w suwalskiej 59,8 proc., w radomskiej 56,7 proc., w łomżyńskiej 52,3 proc., lubelskiej 51,6 proc., kieleckiej 51,4 proc., warszawskiej (bez Warszawy) 49,2 proc., płockiej 47,1 proc., kaliskiej 41 proc. W pozostałych guberniach odsetek żydów miejskich spada poniżej cyfry przeciętnej (40,2 proc.).

W Warszawie odsetek żydów wynosi 36,88 proc., Po przyłączeniu gmin podmiejskich, uskutecznionem już w czasie okupacyi, procent ludności żydowskiej znacznie się zmniejszył.

Podział ludności żydowskiej Królestwa na poszczególne zawody daje następujący obraz: kapitalistów jest 4,82 proc., rolnictwu poświęca się 2,33 proc., handlowi 38,02 proc., rzemiosłu 16,27 proc., robotnicy fabryczni reprezentują cyfrę 18,62 proc., w charakterze urzędników zatrudnionych jest w handlu i przemyśle 8,4 proc., na inne zawody przypada 11,54 proc.

Znamienną jest rzeczą udział żydów w

poszczególnych zawodach w stosunku do ogólnej liczby osób w danym zawodzie zatrudnionych. I tak na żydów, którzy tworzą 14,64 proc. ogółu ludności Królestwa przypada między innemi w rolnictwie 0,6 proc., w zawodzie nauczycielskim (do którego statystyka rosyjska zalicza również nauczycieli w chederach) 52,9 proc., na osoby poświęcające się duszpasterstwu 49,1 proc., W handlu, jak wiadomo, mają żydzi przeważającą większość, lecz w poszczególnych działach handlowych nie są równomiernie rozdzieleni. I tak w hotelarstwie występują oni z cyfrą 38,6 proc., w szynkarstwie 52,4 proc., w handlu galanteryjnym 55,4 proc., w handlu konfekcyjnym z cyfrą 87,6 proc. Olbrzymią jednak przewagę mają przedewszystkiem w handlu maszynami 87,8 proc., w handlu skórnym 93,3 proc. i w handlu zbożem, gdzie wykazują najwyższą cyfrę, bo aż 94,1 proc. W domokrążstwie reprezentowani są żydzi cyfrą 91,4 proc.

Jaskrawość stosunków socyalnych wśród ludności żydowskiej — ujawni się w całej pełni, gdy sie zważy, iż ludność ta, wynosząca 14,64 proc. ogółu ludności Królestwa, uczestniczy w ogólnej grupie kapitalistów z cyfrą 28 proc., w grupie zawodowych żebraków z odsetkiem 29,8 pr. i wreszcie wśród osób trudniących się nierządem z cyfrą 27,3 proc.



W sprawie podwyższenia kapitału akcyjnego Banku Związku Spółek Zarob.

Z rzadką jednomyślnością zgodzili się zarówno Sejmik Spółek jak i Walne Zebranie akcyonaryuszów Banku Związku na podwyższenie kapitału zakładowego Banku Związku.

Bardzo znaczna, jak na nasze stosunki, bo 6 do 9 milionów marek wynosząca nowa emisya, nie zastraszyła nikogo i nie wydawała się nadmierną, mimo, że kwota, o którą podwyższa się kapitał akcyjny, przewyższa dotychczasowy kapitał akcyjny Banku Związku o 150%.

O konieczności podwyższenia kapitału zakładowego centralnego Banku Spółek, a zarazem największego w naszym zaborze polskiego banku akcyjnego, nie było potrzeba przekonywać już nikogo. Projekt i uchwała zatem, objaśnione zresztą przez Zarząd obszernie na Walnem Zebraniu, trafiły w przekonanie akcyonaryuszów i Spółek.

Centralny Bank Spółek a rozwój Spółek muszą pójść równolegle, jeśli centralny Bank wobec Spółek sprostać ma swemu zadaniu. Gdyby rozwój Spółek w rażącej o rozwoju Banku Związku stał nierówności, nie mogłyby Spółki znaleźć tego oparcia w swej centrali, którego potrzebują koniecznie dla swego własnego zdrowego postępu.

Porównać można organizacyę spółkową z systemem kanałów i przewodów i nawadniania i odwadniania szerokich łanów. Jeśli główny kanał regulujący napływ i odpływ wody, stanie się za ciasnym, cały system kanałów i przewodów mniejszych przestanie funkcyonować prawidłowo i sprawnie.

Bank Związku jako główny kanał odpływu i dopływu pieniędzy w Spółkach stał się już za szczupłym i ciasnym dla rosnącej z dnia na dzień organizacyi spółkowej, a raczej dla wzmagającej się fali pieniężnej, dla której Bank Związku głównym był regulatorem.

Pewnie, że można było jeszcze tak gospodarzyć jak dotąd bez obawy i niebezpieczeństwa, boć o zdrowiu instytucyi finansowej nie tyle stanowią zasoby własne — jak pewność zawartych interesów, ale mimo to rozszerzenie Banku Związku było tylko kwestyą czasu. — Z pewnością lepiej się stało, że dokonano podwyższenia akcyjnego kapitału już teraz w czasie spokoju na rynku pieniężnym. Po wojnie rynek pieniężny mniej będzie spokojny, a roboty innej będzie aż za wiele.

W inny zupełnie sposób rośnie majątek udziałowy Spółek a w inny kapitał towarzystwa akcyjnego.

Udziały w Spółkach wzrastają bezustannie przez dopisywanie dywidend, wpłaty członków, przyrost nowych udziałowców. Przyrost ten nie jest ściśle określony, ale w normalnych czasach jest bezustanny, przyspieszenie rozwoju zależne w wielkiej mierze od nacisku wywieranego przez Zarząd Spółek.

Inaczej w towarzystwach akcyjnych. Tu kapitał i ilość akcyi z góry określone. Cały kapitał akcyjny przejść musi w ręce akcyonaryuszów w jasno określonym czasie. Dowolnego przyrostu liczby akcyi i akcyonaryuszów niema. Jeżeli się towarzystwo akcyjne zdecyduje na powiększenie kapitału, musi jednym zamachem załatwić sprawę.

Tym sposobem rozrost spółkowych organizacyj dokonuje się powoli, ale stale, rozwój towarzystw akcyjnych w skokach nagłych i silnych.

Bank Związku, towarzysząc rozwojowi Spółek, całym szeregiem skoków w rozwoju kapitału dostosowywał się do bezustannie rosnących ram Związku. Wystarczy sobie uprzytomnić następujące cyfry:

Rok	Kap. akcyjny Banku Związku.	Kwota bilans. Spół. włącz. Spółek Śląskich.	Stosunek jak:
1886	40 000	12 mil.	1 : 300
1888	500 000	13 mil.	1 : 26
1900	1 000 000	58 mil.	1 : 58
1905	3 000 000	132 mil.	1 : 44
1909	6 000 000	262 mil.	1 : 43
1916	15 000 000	przypuszcz. 460 mil.	1 : 30

Im większy rozrost Związku Spółek, tem wyższe wymagania wobec Banku Związku — tem też silniejsze być powinny tegoż podstawy w kapitale akcyjnym. Tendencya w tym kierunku wyraźnie uwydatnia się począwszy od r. 1900.

Obficiej rozwinęła się dyskusya na Walnem Zebraniu nad propozycyą, aby nowe akcye nie były imienne, lecz wystawione na okaziciela. Troska o dobro Banku Związku, mianowicie obawa, aby Bank Związku mając akcye na okaziciela nie stał się zależnym od grupy akcyonaryuszów, którzy wykupiwszy większą ilość akcyi mogliby Bank na fałszywe wprowadzić tory, wywołała obszerniejsze rozważania.

W życiu towarzystw akcyjnych zdarza się przecież, że ktoś po cichu wykupuje akcye — i gdy posiada już większość, znienacka całą zawładnie instytucyą.

Gdy jednak w Banku Związku dotąd trzy czwarte akcyj znajdują się w ręku Spółek, gdy w nowej emisyi Spółki zapewne znowu posiądą większość, gdy ponadto Spółki są zorganizowane i jako akcyonaryusze na Walnem Zebraniu zawsze występują bądź osobiście bądź przez zastępców z całym posiadanym przez Spółki kapitałem, nie ma obawy, aby wroga celom Banku Związku grupa akcyonaryuszów zdołała istotnie zawładnąć Bankiem, zwłaszcza, że większość akcyonaryuszów prywatnych niemniej gorliwie jak Spółki bronić będzie właściwych celów i zadań Banku.

Poza tem określone statutem prawo Spółek do $^{2}/_{3}$ miejsc w Radzie Nadzorczej, oraz również ze statutu wynikające prawa kuratora dają tak Spółkom jak społeczeństwu rękojmię, że Bank Związku zadaniom swoim pozostanie zawsze wiernym.

Natomiast akcye na okaziciela niezmiernie są dogodne dla prywatnego kapitału. Akcyonaryusz wprawdzie podpisuje arkusze subskrypcyjne, ale może akcyę otrzymaną natychmiast sprzedać, podarować itd. bez żadnych odrębnych formalności. Wobec Banku Związku właścicielem akcyi jest ta osoba, która ma akcyę w ręku.

Rzecz jasna, że tym sposobem ułatwiło się nabywanie akcyj prywatnym kapitalistom, zwłaszcza tym, co niechcą, aby ktośkolwiek wiedział, że i ile posiadają akcyj. Wielu kapitalistów składa poprostu w Spółce pieniądze i żąda, aby Spółka dla siebie subskrybowała akcye. Po otrzymaniu akcyj Spółka rozliczy się z nimi i akcye im wręczy, nazwisko zaś interesenta takim sposobem nie znajduje się nawet na wykazie pierwszych subskrypcyj.

Spółki ułatwiać będą prywatnym kapitalistom nabywanie akcyj w ten czy inny sposób — zawsze jednak pamiętać trzeba, że przedewszystkiem Spółki same we własnym interesie i interesie Związku w subskrypcyi odpowiedni wziąć winny udział.

Jest zwyczajem w towarzystwach ak-

cyjnych rozwijających się zdrowo, że akcye nowych emisyj wypuszcza się po cenie wyższej, niż suma, na którą akcya jest wystawioną. Czyni się to wówczas, jeśli stałe zyski zapewniają wysoką dywidendę, lub jeśli instytucya posiada wysokie rezerwy.

Bank Związku posiada rezerw bilansowych za milion i sześćsettysięcy marek. Przy kapitale akcyjnym 15 milionów wynosiłoby to przeszło 10% kapitału. Ponieważ zaś nowi akcyonaryusze stają się współwłaścicielami funduszów rezerwowych, uzbieranych przez akcyonaryuszów dawniejszych, przeto możnaby żądać, aby za nowe akcye dopłacili 10% — i sprzedawać akcye wystawione na 1000 mk. — po 1100 mk.

Mimo, że ze strony dawniejszych akcyonaryuszów odzywały się głosy, aby nowi akcyonaryusze owe 10% wpłacili na korzyść funduszu rezerwowego, postanowiono wydać akcye po cenie zwykłej, zwłaszcza, że na akcyach ciąży stempel akcyjny — obecnie 47,72 mk. od tysiąca, — który spada na akcyonaryusza. Nowi akcyonaryusze zatem, uwzględniwszy koszta stempla, otrzymają istotnie akcye na warunkach bardzo dogodnych, płacąc mk. 1047,72 zamiast 1100 mk.

Kalkulacyę tę pomija się często, mówiąc o kosztach stempla.

Niemniej nie zdaje sobie wielu sprawy z tego, że do bilansów wstawić można i wolno koszta stempla jako aktywum, tak iż w bilansie akcyę wystawioną na 1000 mk. umieścić można z kwotą 1047,72 mk., zwłaszcza, jeśli akcya wartość tę posiada — a to przecież nie ulega wątpliwości.

Sprzedając zaś akcyę, żądać się będzie za nią także co najmniej 1047,72 mk., tym więcej, jeśli dywidenda dostateczne zapewni oprocentowanie. Wysokości dywidendy gwarantować nie można i nie wolno. Statut Banku Związku dywidendy nie ogranicza w żadnym kierunku.

Bank Związku płacił z wyjątkiem dwóch pierwszych lat wojennych 6% dywidenedy. Dyrekcya Banku Związku orzekła na mocy tymczasowych obrotów, że za rok 1916, o ile nieprzewidziane nie zajdą sprawy, także spodziewać się można 6% dywidendy. Biorąc zatem 6% jako podstawę obrachunku, otrzyma się przy cenie akcyi 1047,72 mk. oprocentowanie po 5,73%, z pewnością dostatecznie korzystne tak dla Spółek jak dla prywatnych kapitalistów. Wobec tego można spokojnie korzystać z prawa wstawienia stempla razem z akcyami do bilansu, a umorzenie stempla rozłożyć na szereg lat.

Subskrypcya jak dotąd posuwa się raźno naprzód. Nadspodziewanie liczne i obfite subskrypcye nadchodzą od prywatnych kapitalistów, co świadczy doskonale o zrozumieniu sprawy i świadomości, że zakup akcyj korzystną jest lokatą pieniędzy. Termin dla ukończenia subskrypcyi wysunięty wprawdzie do końca r. 1918. Jednakowoż niema powodu, aby po rozebraniu wszystkich akcyj zwlekać z zamknięciem subskrypcyi. Wobec tego zaś, że im prędzej zamknie się subskrypcyę, tem prędzej zamiast gwarantowanych $4^1/_2$%, kwoty wpłacone jako akcye wezmą udział w dywidendzie, własny interes tak Spółek jak i prywatnych akcyonaryuszów wymaga, aby subskrypcya jaknajprędzej doszła do skutku i została zamkniętą.

Ks. Patron.



Pieśń litewskich borów.

(Nieznany wiersz Sienkiewicza ze zbiorów Stefana Dembego.

Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć ni modlić się, ani
Mruczyć inaczej swoich wieczornych nieszporów,
Jak na suzdalską nutę: „Boże cara chrani“.

Trwoga padła na puszcze. Stoją ciche drzewa,
Jak wynurzon z wód łona bór zakamieniały,
Ani zwierz się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
Dzięcioł boi się nawet pukać w pień spróchniały.

Dlejatiele zaś krzyczą, potrząsając knuty:
„Bór się boi, więc zagra wedle carskiej nuty“.

Wtem wstaje wiatr — i leci do zachodniej strony,
Już spadł na gonnych sosen wyniosłe korony,
Mruknęły dęby, trzęsie liściami brzezina:
Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna
I brzmi coraz potężniej między konarami:
„Święty Boże a mocny, zmiłuj się nad nami!“

Henryk Sienkiewicz.

4. 11. 1887. „Kuryer warszawski“.

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we wszechświecie,
Bo cel światów — szlachetnienie.

Zygmunt Krasiński.

* * *

Kto krok czyni ku dobremu, już ma zasługę, bo ośmiela następców, bo wskazał przykład.

Tadeusz Czacki.



Obchód

ku czci Henryka Sienkiewicza w Poznaniu w teatrze polskim,

dnia 11-go b. m.

Widownia przepełniona, setki osób odeszły od kasy z powodu braku miejsc i nie dziw. Poznań składał hołd nieśmiertelnemu naszemu pisarzowi i wielkiemu obywatelowi, który opuścił nas, ale w dziełach i czynach żyć będzie wiecznie, a każdy, któremu drogie to imię, chciał wziąć udział w tym obchodzie.

Nastrój panował uroczysty i podniosły; cisza grobowa zalegała widownię, gdy przed zasłonę wystąpił p. Bracki i wygłosił prolog Romana Wilkanowicza, piękny co do treści i formy, drgający uwielbieniem dla hetmana narodu naszego. Podniosła się zasłona. Wśród zieleni, na tle emblematów żałobnych umieszczony był biust Sienkiewicza. Mistrz zdawał się spoglądać na widownię, wielki jego duch był wśród nas. Piękna pieśń Gomółki, kompozytora naszego z XVI. wieku do słów psalmu Dawidowego, w przekładzie Kochanowskiego „Siedząc po nizkich brzegach Babilońsikej wody“ wykonał chór mieszany pod energicznem kierownictwem ks. dra Wacława Gieburowskiego świetnie.

Pan mecenas Jarogniew Drwęski w wspaniale opracowanem przemówieniu przedstawił nam wizerunek duchowy Sienkiewicza. Przemówienie to, pełne podniosłych zwrotów ,wygłoszone przepięknym językiem i z swadą retoryczną ogólne zrobiło wrażenie. Otwarcie powiedzmy, że przemówienie to jest jednem z najgłębszych i syntetycznie opracowanych, jakie po śmierci nieśmiertelnego naszego pisarza i drogowskazu narodu naszego, jak się wyraził mówca, wygłoszono.

Pan dr. Rydlewski wygłosił „Pogrzeb pana Wołodyjowskiego“ i „Na Jasnej Górze“, pani Marya Kucnerowa „Legendę żeglarską“ i „Pod krucyfiksem“ i zachwycili publiczność prawdziwie plastycznem wyrzeźbieniem słów sienkiewiczowskich.

Motet ks. dra Wacława Gieburowskiego „Błogosławieni umarli, którzy umierają w Panu“ na głosy mieszane, odznacza się podniosłym nastrojem i czaruje słuchacza wdziękiem, uczuciem i harmonią. Wykonany był pod batutą kompozytora wzorrowo.

Żywy obraz: kazanie ks. Kamińskiego na pogrzebie Wołodyjowskiego, układu artysty malarza Wiktora Gosinieckiego zakończył wieczór obchodu. Układ bardzo piękny przedstawia właśnie chwilę, gdy

Basia leży przy trumnie, obok niej stoi Zagłoba, Sobieski wchodzi do kościoła, a ks. Kamiński w proroczem natchnieniu woła: salvator!

Wszystkich, biorących udział w obchodzie, owacyjnie oklaskiwano. Prawdziwa wdzięczność należy się Komitetowi sienkiewiczowskiemu za urządzenie tej prawdziwej uczty duchowej. S. W.



Z górnika — artysta.

Wiadomo każdemu, że kto się pilnie uczy, kto pilnie pracuje, a zachowuje przykazania Boskie, o tym Pan Bóg nigdy nie zapomni, ale owszem błogosławi mu, dopomaga i tak go Opatrznością swoją wspiera, że zawsze na dzielnego wychodzi człowieka. Praca jednakże sama nie wywiera pożądanego skutku, jeżeli nie jest połączona z oszczędnością. Nieraz też największe talenta marnieją bez wytrwałej pracy i oszczędności, i nie wydają owoców, ani dla Boga, ani dla bliźnich, ani dla tego, który je posiada, jeżeli praca człowieka z niemi nie połączy. Talent daje Pan Bóg człowiekowi bez jego woli i zasługi. Że człowiek pracuje z wolnej woli, aby talent wykształcić, to jest dopiero zasługa człowieka i wielka jego zasługa wobec Boga i ludzi. — Często się zdarza, że człowiek z rodziny zamożnej i znakomitej dochodzi do wysokiego stanowiska, na którem może dla ludzkości wielkie przynieść zasługi. Ale bywa i tak, że człowiek ubogiego stanu, przy pracy usilnej, zdolnościach i oszczędności, jeżeli żywi pragnienie przyniesienia swą pracą pożytku dla ogółu, że i taki człowiek dochodzi do sławy i znaczenia.

Jako żywy przykład samodzielności, wytrwałości, oszczędności i niezmordowanej pracy w obranym zawodzie, wymienić należy naszego rodaka, syna ludu polskiego, **Reinolda Gruszkę**, którego podobiznę i opis życia podajemy Szanownym Czytelnikom „Pracy."

Reinold Gruszka urodził się dnia 24-go sierpnia 1881 w Bytomiu na Górnym Śląsku. Ojciec jego był dozórcą w kopalni kruszców pod Bytomiem, a ze swej skromnej pensyjki miał do wyżywienia, oprócz Reinolda, jeszcze 5 chłopaków i jedną córkę.

Uczęszczając młody Gruszka do szkoły ludowej w Bytomiu, okazywał wielkie zamiłowanie do malarstwa i rysunków; a największą było jego przyjemnością, gdy mógł na kawałku papieru ołówkiem lub tuszami najrozmaitsze wymalować obrazki. — Po ukończeniu nauk szkólnych, chciał się też Gruszka poświęcić zawodowi malarskiemu, lecz widoków na to nie było, z powodów ograniczonych stosunków



Reinold Gruszka.

materyalnych. Ubodzy rodzice posłali tedy chłopca za robotnika do kopalni, gdzie pod okiem ojca pracował jako prosty górnik, wypełniając sumiennie swoje obowiązki. Lecz młody Gruszka nie czuł się przy pracy w kopalni szczęśliwym, bo pochłaniała go żądza nauki i niczem nie powstrzymany popęd do sztuki malarskiej, tak że nawet ciężka praca nie przeszkadzała mu nigdy w chwilach wolnych kształcić się w rysunkach.

Po kilku latach ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni, postanowił drogę do ulubionego malarstwa sam sobie utorować. I tak początkowo starał się przez wpływowe osoby dostać się na szkołę malarską do Krakowa. Lecz starania i zabiegi dostania się między swoich, spełzły na niczem, a Gruszka widząc się zawiedzionym, pewnego pięknego poranku zabrał swe skromne zawiniątko z nieudolnemi jeszcze rysunkami pod pachę, a pożegnawszy się z rodzeństwem, opuścił ubogi dom rodzicielski, aby na własną — jak to mówią — rękę szczęścia na szerokim świecie próbować. — Rozpacz jednak ogarnęła młodzieńca, gdy po licznych rozczarowaniach i trudach niesłychanych, obszedłszy nieomal cały Górny Śląsk, nie mógł znaleźć majstra malarskiego, któryby go przyjął jako ucznia i dopomógł mu do urzeczywistnienia jego życzeń gorących. Nie pozostało mu nic innego, jak opuścić niegościnny dla niego Śląsk. Mając jeszcze kilka marek w kieszeni, pojechał tedy do Westfalii, gdzie przyjąwszy znów pracę w kopalni, postanowił jak najpilniej pracować i oszczędzać, a następnie z zaoszczędzonym kapitalikiem poszukać jakiego szlachetnego człowieka, któryby się zajął jego losem.

I tak pracując znowu ciężko w kopalni przez kilka lat, a oszczędzając przytem każdy fenyg, ćwiczył się nadal w rysunkach, nie tracąc ani chwili marnie czasu i odwagi, bo był mocno przekonany, że usiłowania jego kiedyś wreszcie pomyślny uwieńczy skutek. — Mając już kilkadziesiąt talarów w kieszeni — powiedziawszy swym towarzyszom pracy ostatnie „Szczęść Boże!" — zgłosił się Gruszka w Dyseldorfie do tamtejszej szkoły sztuk pięknych, gdzie go na mocy przedłożonych rysunków przyjęto jako ucznia dnia 1-go kwietnia 1906.

Gruszka czuł się teraz nad wszelki wyraz szczęśliwy i zadowolony, bo nauka sprawiała mu najwyższą przyjemność; pracował usilnie nad sobą i był pilny, a przy pracy i pilności nie dziw, że Gruszka czynił zadziwiające w naukach postępy. Lecz pomimo jaknajwiększej oszczędności w wydatkach, zaoszczędzony i krwawo zapracowany grosz, wyczerpał mu się tak, że na końcu roku szkolnego, pozostał zupełnie bez środków do życia. Jednak i tu Gruszka nie zwątpił, bo choć był przygnębiony biedą i niedostatkiem, jednakowoż silna wola i wytrwałość była mu i nadal gwiazdą przewodnią. — Z osiągniętych dotąd bowiem nauk w rysunkach, umiał już o tyle skorzystać, że pracował dzień i noc nad szkicami, a szczególnie nad wzorami do wyrobów tapet i materyałów, które znalazły wkrótce chętnych i dobrze płatnych odbiorców. Tak więc praca ta poza godzinami szkólnemi przyniosła mu tyle dochodu, że oszczędziwszy znów sporo grosza, mógł po opędzeniu najpotrzebniejszych wydatków na skromne utrzymanie, pozwolić sobie nawet na dalszą podróż w celu fachowych studyów, podczas wakacyj szkolnych. Powróciwszy z podróży, uradował się Gruszka niemało, otrzymawszy miłą wiadomość, że będąc polecony przez swych profesorów, uzyskał stypendy-

um, i mógł zabrać się do dalszych studyów, które ukończył szczęśliwie.

Szkoła sztuk pięknych w Dyseldorfie dała mu znakomitą znajomość i odczucie, a talent wrodzony, pozwala mu pracować nie tylko pendzlem i piórem, ale i rylcem z wielkim artyzmem, tak że zdobył sobie niepoślednie miejsce w sztuce graficznej. Z szczególnem zamiłowaniem oddał się rysowaniu motywów z malowniczo położonych nad Renem starożytnych budowli, przedstawiających historyczne gmachy i kościoły, a jako dziecko ludu pozostał też popularnym i szczerym artystą, tak że w szkicach jego i rysunkach przebija się charakter ludowy, owiany jakby poezyą.

Odtąd utalentowany Gruszka stał się też stałym współpracownikiem różnych wydawnictw niemieckich, które się ubiegają o jego prace. Wyszło też większe dzieło pod tytułem: „Stare kąty, przedstawiające starożytne zabytki budowli. Na rozmaitych wystawach i konkursach otrzymał Gruszka pierwsze nagrody i odznaczenia, a gazety wychodzące w Bonn, Dyseldorfie i Krefeldzie rozpisały się o nim bardzo pochlebnie.

Wśród swych zajęć artystycznych, został Gruszka, jak tysiące innych, powołany do służby wojskowej, a rylec, pendzel i pióro musiał na broń zamienić, walcząc na wschodzie, na froncie i w rowach strzeleckich, wśród szczęku broni i strasznego huku armat, wykonał G. mnóstwo szkiców i rysunków, przedstawiających groźne sceny i tragiczne momenty obecnej burzy wojennej. Pod Ostrołęką został ranny odłamkiem szrapnelu i leczy się teraz w lazarecie w Olsztynie, podczas gdy obrazy, rysunki i szkice, oraz kartki widokowe u pierwszorzędnych handlarzy artystycznych cieszą się popytem i wędrują obecnie z miasta do miasta po wystawach wojennych.

Tak to Gruszka doszedł do rozgłosu, bo zasłużył na niego talentem, pracą i oszczędnością. I tu, można śmiało powiedzieć, że spełniły się słowa mędrca sławnego greckiego Arystotelesa, który był powiedział: „Nauki mają gorzkie korzenie, ale słodkie owoce,“ — bo i Gruszka po ciężkich trudach i wysiłkach osiągnął upragniony cel. — Oby nasza młodzież górnośląska wzięła sobie za przykład Gruszkę, który pracą mrówczą, oszczędnością, silną wolą i nauką wyrobił sobie znakomite imię wśród obcych, a dałby Pan Bóg, żeby się stał chlubą naszego narodu.

Rodakowi naszemu p. Gruszce życzymy dalszej owocnej pracy na niwie artystycznej, i mamy nadzieję, że artysta Gruszka pracami swemi starać się będzie zasilać także wydawnictwa polskie, aby mając już rozgłos na obczyźnie, zdobył sobie sławę wśród swoich.

Józef Gallus.

Nowe książki.

Teodor Jeske - Choiński. Gasnące słońce. Powieść z czasów Aureliusza. Wydanie nowe. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1916. Stron 376 i 348. Z ilustracyami. Cena 8 mk.

Jeske - Choiński jest jednym z nielicznych pisarzy współczesnych, którzy swemi beznadziejnemi żalami, bezgranicznym pesymizmem nie spychają społeczeństwa w coraz głębszą otchłań zwątpienia, lecz dają pokarm zdrowy i pożyteczny. Czyni to autor w swych znanych powieściach, jak: „Ostatni Rzymianie“, „Tyara i korona“ i innych.

Z znanym rozmachem i wielką plastyką maluje autor tło historyczne w powyższej powieści. Przenosząc nas w epokę przełomową państwa rzymskiego, w czasy rządów Marka Aureliusza, daje nam wyrazisty obraz myśli i dążeń, życia i przeobrażeń ówczesnego Rzymu.

Charakterystyka postaci wprowadzonych do powieści wskazuje, iż autor wczuł się doskonale w psychę ówczesnych ludzi. Spotykamy tam, z Markiem Aureliuszem na czele, ówczesny świat filozofujący, stale chwiejny, ludzi dobrych, lecz bez energii, bez woli, niezdolnych do czynu. Ich przeciwstawieniem to niewielka tylko liczba godnych potomków dawnej Romy, rycerzy prawych, o charakterze czystym, silnym jak stal. Największem umiłowaniem ich to Rzym, ten wspaniały, lśniący jeszcze złotemi blaski na świat cały, lecz to już ostatnie błyski, **gasnące słońce.** Jako właściwy Rzym przedstawia nam autor ten rozbawiony, rozszalały, kąpiący się w morzu rozpusty, drwiący z mytów religijnych, a hołdujący jedynie jeszcze Amorowi i Bachusowi. Ten Rzym stanowi lwią część społeczeństwa, począwszy od brata cezara, a skończywszy na szerokich masach proletaryatu. I kobiety, które spotykamy w powieści, w niczem nie ustępują mężczyznom. To kobiety bezduszne, uprawiające jednak filozofię, gdyż tego wymaga wszechwładna moda ówczesna, a jej nie uledz byłoby hańbą.

Na tle tem, tak różnobarwnem, tętniącem życiem gorączkowem, rozwija autor ciekawą swą powieść. Wplata w nią złotą nić wielkich umiłowań, czynów heroicznych, ciekawie zawiązuje intrygi kobiece i na uwięzi trzyma uwagę czytelnika nadzwyczaj interesującem opowiadaniem. Szata zewnętrzna książki stylowa, oryginalnie wykonana. Papier dobry, druk wyraźny. Wykonane fotograwurą ilustracye, których jest kilka w każdym tomie, dobrze są dobrane i trafnie ilustrują tok opowiadania.

W ręku każdego inteligentnego czytelnika książka powyższa stanowić będzie przyjemną, a ze względu na żywą akcyę, bardzo zaciekawiającą lekturę.

Książki, więcej niż cokolwiek bądź innego, nadają się w obecnych smutnych czasach jako podarki gwiazdkowe. Toć one spełniają w zupełności zadanie swoje, odrywając od twardej rzeczywistości, a przenosząc w świat inny, jaśniejszy, krzepiąc i podnosząc na duchu. Dlatego też gorąco polecamy Szanownym Czytelnikom naszym szereg **wydawnictw gwiazdkowych,** które w numerze dzisiejszym podaje **Drukarnia i księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.** Szczególnie zwracamy uwagę na dzieła dla młodzieży, odznaczające się szla-

chetną myślą. Wśród dzieł beletrystycznych wyróżniają się przedewszystkiem powieści Jeske - Choińskiego. Aktualne i piękne są także nowele osnute na tle wypadków obecnej wojny „Widziały to sępy i kruki".

Nasza nowa powieść historyczna

p. t.

„Burisleif."

Napisał Feliks Kazubowski (syn).

Rzecz, osnuta na tle stosunków polsko-skandynawskich, sięga końca X. stulecia; bohaterem jest Bolesław Chrobry (Burisleif).

Pomysł do napisania tego romansu dały autorowi częste wzmianki o Burisleifie i siostrze jego, Sygrydzie Dumnej, zawarte w sagach skandynawskich. Około tych dwu postaci obraca się akcya innych osób, a więc rycerstwa polskiego (Sławko - Dąbrowic, Zdziszek z Miedzwiedzy, Jarand Łazęka, Dobroszko i t. d.), rycerzy zagranicznych z orszaku księcia (Tuni, Kuno von Tangen, Dagobert z Laonu, Louis de Brabaux), całego szeregu postaci kobiecych (Astryda, Ingegerda, Anda, Ina, Tyza, Rikissa, Boryna), oraz jarlów i rycerzy normańskich i szwedzkich, jak n. p. jarl Halfred z Elfwarfylke, odgrywający główną rolę w pierwszych rozdziałach wraz z Ingegerdą, Boryną i arcykapłanem Silbodalem, tudzież jarlem Sigurdem Gunnarem z Gunnarskogu). Występujący w części pierwszej Harald Gronske pada ofiarą zemsty królowej, ginąc na stosie (zdarzenie historyczne). Pozatem biorą udział w akcyi: król norweski, Olaf Tryggwesson, król Swen Widłobrody i Olaf Skotkonung, syn Sygrydy i Eryka Zwycięskiego. Głównemi ogniskami akcyi są: Gdańsk (z początku, Upsala, Halmstad i Skara.

Treść, w całości bardzo urozmaicona, obfitująca w momenty dramatyczne i obrazy, pełne wysokiego napięcia, obejmuje czyny rycerskie, sceny miłosne, przygody i walki, kończy się zaś opisem bitwy pod Skarą, w której książę Bolesław odznacza się wybitnie.

Moment uczuciowy i religijny silnie jest w powieści zaznaczony, obejmuje ona bowiem epokę, w której pogaństwo skandynawskie ma się już ku końcowi, a ludzie, surowi i prości, uszlachetniają się, nie bez uporu, pod wpływem idei chrześcijańskiej. Stąd nie brak w powieści księży i kapłanów, walk duchowych i nawróceń na chrystyanizm.

Temat romansu jest nawskroś oryginalny, przez żadnego z pisarzy polskich dotąd nie poruszony.

Zaproszenie do przedpłaty na „Pracę" na nowy pierwszy kwartał 1917 r.

Czas największy

odnowić przedpłatę na „Pracę" na nowy pierwszy kwartał 1917 r. na poczcie lub też u listowych, którzy przyjmować będą przedpłatę od dnia 15-go do 25-go b. m.

Należy mieć pieniądze przygotowane, mianowicie 2 marki 50 fen., a z odnoszeniem do domu 12 fenygów więcej i pieniądze te wręczyć listowemu, który pokwituje z ich odbioru. Jest to najłatwiejszy i najpewniejszy sposób do zapisywania „Pracy", więc prosimy Was, Szanowni Czytelnicy, skorzystajcie z niego i zachęcajcie także do zapisywania „Pracy" na nowy kwartał przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

Formularz celem zamówienia „Pracy" na pierszy kwartał 1917 roku zamieszczony jest na drugiej stronie okładki. Formularzy takich dostarczy także na życzenie każda poczta i każdy listowy.

W następnym numerze rozpoczniemy druk dwóch nowych, bardzo ciekawych, nadzwyczaj interesujących powieści, mianowicie **historycznej z końca X. wieku,** (patrz „Nasza nowa powieść historyczna") p. t.

„Burisleif"

oraz niezmiernie sensacyjnej z życia wiedeńskiego p. t.

„Zielony samochód."

Początek tych pięknych powieści otrzymają nowi abonenci bezpłatnie. Na porto prosimy dołączyć znaczek dziesięciofenygowy.

Do numeru następnego, gwiazdkowego, dołączymy piękną albumową reprodukcyę trójbarwną, przedstawiającą **śmierć generała Józefa Sowińskiego podczas zdobycia Woli w r. 1831.**

Do numeru ostatniego noworocznego, w bieżącym kwartale, który wydamy jeszcze z datą 31-go grudnia, dołączymy **kolorowy kalendarz ścienny „Pracy" na rok 1917.**

Poza tem zamieszczać zaczniemy po Nowym Roku cały szereg pięknych albumowych reprodukcyj trójkolorowych, przedstawiających **epizody z wojen Napoleońskich. Na kolekcyę złoży się osiem obrazów, które malował znakomity artysta Jerzy Kossak.** Pierwszy obraz dołączymy do numeru pierwszego w nowym kwartale.

— Na głodnych braci naszych w Królestwie przyjmują składki redakcye pism polskich, banki polskie, oraz Komitet niesienia pomocy w Król. Polskiem Poznań, ulica Teatralna 2.

—**Dla Komitetu niesienia pomocy w Królestwie Polskiem** nadesłali w dalszym ciągu na ręce nasze pp. W. Pacholczyk z Berlina - Mariendorfu 5 mk., J. S. z Bydgoszczy (ku uczczeniu Sienkiewicza) 2,05 mk.

O dalsze datki prosimy orącgo.



Panu Henrykowi Bandurze w Reinstedt (Saksonia). — Królewiacy czy są związani kontraktem, czy nie, nie mogą wracać do Królestwa bez pozwolenia generalnej wojskowej komendy, o które za pozwoleniem miejscowej policyi zgłaszać się trzeba. Pozwolenie udziela się tylko wyjątkowo z bardzo ważnych powodów.

— Panu Wacławowi K., sanitaryuszowi na Zachodzie (we Francyi). — W tej sprawie informacyi udzielić nie możemy. Zdaje się, że przełożona władza nie zgodziłaby się na życzenie Szan. Pana. — Cieszy nas, że się Szan. Panu „Praca" bardzo podoba.

— Panu R. w Kostrzynie. — Pani drowa Niegolewska w Poznaniu, św. Marcin 68.



Polska mowa.

Ukochaj dziatwo! słowo rodzinne,
Skarb twój najdroższy, wspaniały!
Tem słowem usta twoje niewinne,
Pierwszy paciorek szeptały!

A co po Bogu najdroższe, dziatki!
Dla duszy tkliwej i czystej:
Słodkie imiona ojca i matki,
Wzięłyście z mowy ojczystej.

Pierwsze wrażenia, pierwsze pojęcia,
Pieśń ptaszka, kwiatki w dąbrowie,
Co zajmowały umysł dziecięcia,
W tej tłumaczono wam mowie.

Nie tylko kraj ten, w którym żyjecie,
Ojczyzną waszą się zowie:
Bo jest i druga ojczyzna, dziecię,
Co w polskiem mieści się słowie.

Z głębi serc polskich nurty żywemi,
Rwie się jak rzeka wspaniała:
To mowa ojców, co naszej ziemi,
Nazwisko „Polski“ nadała.

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska;
To znów się ozwie jękiem boleści,
Ze aż łzy z oczu wyciska.

Bo w niej się chowa moc tajemnicza,
To czarodziejska moc wróżki:
Co raz ją zmienia w pieśń Mickiewicza,
To znowu w hasło Kościuszki!

Więc czcij to słowo, co się u świata,
Okryło zasług wawrzynem!
Bo kto niem gardzi, albo pomiata,
Ten złym ojczyzny jest synem!

Władysław Bełza.



* * *

Staruszka!

Działo się to w kraju nadmorskim — w Danii. Zima była niezwykle ostra, morze u brzegów zamarzło i mieszkańcy miasta umyślili sobie urządzić na lodzie zabawę.

Uprzątnięto plac duży, otoczono go chorągiewkami, sprowadzono muzykę, miały być tańce i ślizgawka, iluminacya wieczorem, słowem niezwykła uroczystość.

W małej chatce na wybrzeżu mieszkała uboga staruszka. Mąż jej utonął dawno podczas burzy, syna straciła także, sama była w chatce maleńkiej, pochylonej i bardzo starej. Usłyszawszy muzykę i wesołe głosy, usiłowała podnieść się z posłania, aby z daleka chociaż patrzeć na zabawę, cieszyć się weselem innych — ale sił jej zabrakło. Biedna, smutna starość! A tam wrzawa i radość, tam ludzie szczęśliwi!

Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady bez blasku. Na lodzie zapalono kolorowe światła, migały cienie, rozlegał się śmiech dźwięczny, śpiew, okrzyki, muzyka.

Staruszka z wysileniem usiadła na łożku i patrzała — patrzała... I ona niegdyś młodą była także... i ona się bawiła — jak tamci — szczęśliwi... W tem spojrzała na niebo. Daleko, daleko, gdzie się brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Staruszka zapomniała o chorobie — jej przerażone oczy stały się ogromne — ach, przecież od tylu lat patrzała na niebo i morze!...

A obłoczek płynie, płynie, coraz większy, a czarna.... Nagle zrozumiała wszystko: zna tę chmurę i wie, co niesie. Burzę i śmierć. A tamci bawią się wesoło!

Całe miasto na lodzie: starzy, młodzi, dzieci, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka.

— Jak ich ostrzedz? — myśli staruszka. — Tam nic nie widać, zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdyby silną była, mogłaby pobiedz — blizko, — ale nogi ciężkie, jakby z ołowiu, ręce jej się trzęsą... Otwiera okno z największym wysiłkiem, próbuje krzyknąć, ale wrzawa ją zagłusza, buchnął śpiew i okrzyki, zagrzmiała muzyka — a biały obłok płynie coraz większy i czarna plama... Już zajął pół nieba.

Krzyknęła z całej mocy — nikt nie słyszy. Za daleko. Co począć? Czyż ma patrzeć na ich zgubę? O Boże, Boże! każda chwila droga, każda chwila im grozi!

A w tem Bóg natchnął ją myślą szczęśliwą: podpali chatę, — niech będzie im znakiem, — niech będzie krzykiem trwogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tylu ludzi?

Nie miała zresztą czasu do namysłu, — rzuciła spiesznie ogień na posłanie i chciała wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadła na ziemię i już nie mogła powstać. Ogarnął ją szum, płomień; niby przez sen widziała ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach, tuż nad nią.

Nagle z nad morza rozległ się krzyk potężny i wszyscy w mgnieniu oka rzucili zabawę, aby spieszyć na pomoc ubogiej staruszce, która się mogła spalić w swojej chatce. A w tejże chwili zaszumiało morze, lód pękł z łoskotem, podobnym do strzału, ziemia i niebo zmieszały się razem w ciemność i burzę... lecz na lodzie nie było już nikogo.

I nikt nie zginął, wszyscy ocaleli, tylko biedną staruszkę znaleziono martwą, lecz z uśmiechniętą twarzą. Widziała ich na ziemi, wszystkich, wszystkich — ocalonych, i umarła szczęśliwa.

Podług Andersena.



Uczynna Andzia.

Andzia była grzeczną i uprzejmą dziewczynką. W szkole uczyła się pilnie, z czego się rodzice jej bardzo cieszyli. Obok Andzi siedziała w szkole Małgorzatka, córka ubogich ale uczciwych rodziców. Andzia miała zawsze w swym piórniku po kilka rysików, piór i ołówków, a biedna Małgorzatka, nieraz nie miała czem pisać. Wtenczas to Andzia chętnie dopomagała swej towarzyszce i pożyczała czego jej było potrzeba. Jeżeli inne współuczennice nie rozumiały wykładu nauczyciela, natenczas Andzia, w czem tylko mogła dopomagała swoim koleżankom. Nauczyciel cieszył się z tego i chwalił Andzię. Wszystkie uczennice kochały ją i starały się także sprawić jej przyjemność. Andzia opuściła szkołę, wyrosła, ale nigdy nie zmieniła się. Była zawsze uczynną dla bliźnich i wspierała potrzebujących w każdej potrzebie.



PRZEKLĘTY RÓD.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

— Widzisz, mościa dobrodziejko, stan małżeński jest konieczny dla ludzi, którzy nie mają zamiaru Panu Bogu się poświęcić. Ja przeciwko panu Ignacemu nie mam nic. Rządny jest, stateczny, w naszych oczach przecie dorobił się niemałej fortuny, a choć czasem, mościa dobrodziejko, z heretycka się wyraża, przemienić to pobożna żona potrafi. Już przed ślubem wyspowiadać się będzie musiał, a później żeby złego przykładu małżonce nie dawać, nieraz z nią przed Wielkanocą do kościoła zawita, i tak pomału wciągnie się. I owszem, mościa dobrodziejko, partya dobra. Jeżeli córka kocha go dawajcie na zapowiedzi.

Pani Weronika, zatrzymana przez księdza, do herbaty usiadła; Anusia tymczasem nie opuszczała ogrodu, który ubierał się w coraz nowe barwy rozpękających kwiatów, przejęty był wonią róż i jaśminów, a rozbrzmiewał wszystkiemi pieśniami słowiczych koncertów.

Wieczór był śliczny, srebrny księżyc w błękitach się nurzał. Anusi uderzyło serce, ogarnął ją czar jakiś, jakieś marzenie zakołysało jej duszę. Zamało jej było świateł w ogrodzie, woni, powietrza...

Skierowała się do małej furtki, znajdującej się na końcu ogródka, za którą rozciągała się zielona łąka. Weszła na kobierzec traw, zanurzyła się w morzu zieleni. Owiał ją chłód i łąkowych ziół zapach. Koniki polne grały zgrzytliwie, w poblizkiem zbożu nawoływały się przepiórki, tu i tam z pod nóg zielona żabka skoczyła. Na trawach świeciły duże brylanty rosy, w dali srebrzył się stawek, oblany potokami wschodzącego coraz wyżej księżyca. Żółte wierzby rosły nad przegiem, za niemi przez grobelkę szła droga, do wsi wiodąca. Dziewczyna zbliżyła się nad stawek, wodne kryształy odbiły jej postać białą. Oparła się o drzewo i w niebo spojrzała.

— Księżyc tak ślicznie świeci, a ja się nie kocham — wymówiła półgłosem.

Nagle obejrzała się strwożona, bo jej się zdawało, że ktoś szedł, czy biegł i zatrzymał się tuż za nią.

Nie omyliła się.

O kroków parę na pięknym siwoszu siedział młody jeździec: lewą rękę, którą trzymał wodze, miał nieco podniesioną: widać tylko co rumaka osadził, zdziwiony, a może zachwycony mimowolną skargą dziewczęcia, w srebrne powietrze rzuconą.

Piękny był... Księżyc mu padał prosto na twarz, oświecał lica, tryskające krwią młodą, zdrową, a okraszone jakimś ciekawym uśmiechem. Nos miał niewielki, wąs bujny z fantazyą podkręcony do góry.

Anusia stała chwilkę, nie wiedząc sama, co począć; wreszcie odwróciła powoli głowę i iść zaczęła brzegiem stawu. Ale młodzieniec dał ostrogę koniowi, zatoczył koło i drogę jej przeciął. Musiała się zatrzymać.

Jeździec skorzystał z tej chwili: lekkim ruchem skoczył z konia i zdejmując kapelusz, stanął przed dziewczyną.

— Jestem Bolesław Ruszczyc!

— A! — wyrwało się z ust Anusi.

— Zna mię pani?

— Nie,ale pan być musi synem pana Krzysztofa, którego wszyscy sąsiedzi czczą i kochają.

— Od miłych dla mnie słów zaczęłaś pani rozmowę. Kocham ojca i czuję się szczęśliwym, że nie ja jeden go kocham.

— Pan tylko co z zagranicy? — rzuciła Anusia, robiąc krok naprzód.

— Tak, pani! — odpowiedział Bolesław, idąc ku niej. Obrócił się i cmoknął na konia.

— Za mną!...

Siwosz zarżał i podrzucając kształtną, małą główką, dzwoniąc stalowem wędzidłem, drobnym krokiem zaczął iść w ślady pana.

— Co pan tu robił? — zaśmiała się dziewczyna, przypomniawszy niespodziane spotkanie.

— Dosiadłem przed wieczorem konia, by stare kąty odwiedzić... i wdzięczny jestem losowi, że mię na tę grobelkę zaniósł.

— Dlaczego? — spytała.

— Bom poznał panią! — odpowiedział, pochylając się nieco i w oczy jej patrząc.

Anusia dostrzegła, że jej towarzysz oczy miał śliczne. Spuściła ku ziemi źrenice, ale serce dziwnie jej jakoś bić zaczęło.

Szli tak przez łąkę, rozmawiając już ze sobą jak starzy znajomi. Anusi nie krępowała obecność mało jej znajomego mężczyzny; przecież on był synem pana Krzysztofa, który nieraz w przygodzie matce Weronice stawał, którego znała i odwiedzała czasami. Czuła tylko, że teraz nie będzie już mogła przekroczyć progu modrzewiowego dworku.

Rozmawiając, weszli do ogrodowej furtki.

— Pani tu mieszka? — zapytał Bolesław, wstrzymując kroki.

— Tu, panie, z mamą.

— A! jaka szkoda, że nie mogę odprowadzić pani do progu jej mieszkania. Są pewne formy towarzyskie, którym ulegać musimy. Ale wkrótce złożę swój szacunek mamie pani i mam nadzieję, że dla pani niemiłym gościem nie będę.

Ujął jej rękę i poczuł, że w uścisku jego zadrżała.

— Dobranoc pani!

— Dobranoc panu!

— Jak pani na imię?

— Anna.

— Matka moja miała to samo imię — szepnął Bolesław.
— Śliczne!... ja bardzo to imię... kocham. Anna!... Dobranoc... panno Anno!

Skoczył na konia, skłonił się raz jeszcze i ruszył.

Dziewczyna wbiegła do ogrodu, rzuciła się w krzewy róż polnych, rosnących pod ogrodzeniem — i okryta zielenią krzewów i cieniem drzew, rozpostartych nad nią, uniosła się na palcach, patrząc na ścieżkę, którą odjechał Bolesław. Widziała, że obejrzał się raz i drugi, później spiął konia i w lot pomknął.

Wesoła jak dziecko, śmiejąc się z miłej niespodzianki poznania ładnego chłopca, wbiegła do pokoju matki, chcąc się ze wszystkiego wyspowiadać. W drzwiach zatrzymała się jednak.

— Hm! — pomyślała — nie było nic... a jednak mama połajać może. Za co? A czy ja wiem, za co. Pan Bolesław bardzo przystojny mężczyzna. Oto właśnie. No, i pan Ignacy przystojny. Tak, ale nie wahałabym się powiedzieć

mamie, gdybym tak raz pierwszy spotkała się z panem Ignacym. A teraz... czegoś mi wstyd!... Czego? a czy ja wiem, czego? Otóż powiem!... I co z tego mamie przyjdzie? Pan Bolesław odwiedzić nas obiecał, niech sam opowiada!

Ostrożnie, przyciskając dłonią bijące serce, wsunęła się do sypialni Weroniki. Rumieńce pełną falą grały jej na policzkach, usta się uśmiechały rozkosznie.

Pani Weronika siedziała przy stole nad rozłożonemi kartami; lampa, przyćmiona abażurem, koliste rzucała światło, reszta pokoju w półmroku tonęła.

— Co to, mamo, kabała? — spytała Anusia, siadając koło matki.

— Kabała, i bardzo dobrze wypada.

— Pewnie mówi to, co mamcia sobie życzy.

— Brzydka jesteś! przecież nie okłamywałabym sama siebie. Uważaj! To...

— Pewnie ja.

— Tak! dama czerwienna to ty... a to pan Ignacy.

— Król żołędny?

— Aha.

— Wie mama, że on trochę do pana Ignacego podobny.

— Siedź cicho i słuchaj! Widzisz, droga się ułożyła.

— To znaczy, mamo, że ja mam gdzieś wyjechać...

— Nic nie rozumiesz. To droga, którą pan Ignacy do ciebie chodzi. Teraz uważaj! czerwienna dziewiątka. Wesele, Anusiu, wesele!

— Juści, że nie z księdzem proboszczem.

— Tylko... tu coś...

Pani Weronika podrapała się w głowę.

— Co, mamciu, co? — spytała szybko Anusia.

— Drugi konkurent.

— Jaki, mamciu, jaki?

— Aptekarz pewnie, ale ja bym ciebie za nic w świecie mu nie oddała.

Wpatrzyła się w karty.

— Plącze się... ale to nic, rozwiązanie dobre. Będziesz żoną Ignacego, Anusiu, jak amen w pacierzu.

— A może, a mamo, jest pacierz, w którym niema „amen?..."

— Ja o tem nie słyszałam, Anusiu.

Dziewczyna podniosła się powoli.

— Połóż, mamciu, inną kabałę i lepiej zmieszaj karty. Dobranoc, mamciu!

Pocałowała matkę w rękę i poszła do siebie.

Nie położyła się jednak. Otworzyła okno, patrzyła na blaski miesięczne, snujące się w cieniach drzew ogrodowych, wdychała róż aromaty, czasem głosem wabiła słowiki, gdy umilkły, by znowu śpiewały.

We dworze pana Krzysztofa było cicho; brytany spały u wrót; w jednem tylko oknie na końcu dworu paliło się światło. Była to izba, przeznaczona dla Bolesława. Jacenty Siekacz sam ją urządził, zbrojownię z niej zrobił, na ścianach pozawieszał drogie sobie postacie.

Późnym wieczorem młody pan wrócił z wycieczki konnej; na ganku oczekiwał go Jacenty. Pan Krzysztof już spał, więc Bolesław udał się do swego pokoju z towarzyszącym mu Siekaczem.

— Siadaj, stary wiarusie, pogawędzimy z sobą, jak za lat dawnych,, kiedyś to dzieciakowi palące bajki mówił. Powiedz-no mi, Jacusiu, kto to jest Anusia Blińska? Spotkałem ją dzisiaj... ładne dziewczę, ale co więcej?...

Siekacz usiadł,pogładził łysinę i zaczął:

— Panna Anna jest córką Józefa Grzegorza dwóch imion Blińskiego, lekarza czwartego pułku, którego szwadron drugi...

— Zmieniaj front, stary! — zawołał Bolesław — mnie dzisiaj panna Anna, nie twój szwadron, obchodzi. Kto był Bliński, wiem; ale nie wiem, jaką jest jego córka.

Siekacz uśmiechnął się, pogładził sumiastego wąsa i mruknął znacząco:

— U-hum!

— No, dalej! — naglił Bolesław.

— A jabym do was, mospanie, powiedział: bliżej nie zawadzi!

— Taak? — zaśmiał się Ruszczyc.

Zanurzył się w fotelu; Jacenty gładził wąsy i dalej prawił:

— Anusia była dobra — o tem całe Krzysztofory wiedziały; nie odmawiała chorym pomocy, ubogim wsparcia. Przed rokiem, gdy pan Krzysztof zaniemógł ciężko, dniem i nocą czuwała przy jego łożu. Stary kochał ją jak córkę i dzieckiem swojem nazywał. Była rządna i gospodarna, czytała książki i karmiła gołębie, uczyła dziatwę wiejską...

Ładny obrazek przesunął się przed oczyma Bolesława. Widział Anusię, przed sobą stojącą nad stawem, w białej sukience, wpatrzoną w światło księżyca, który świecił tak pięknie; a ona... nie kochała się.

— Zakochasz się, panienko, zobaczysz! — zawołał w duchu.

Uściskał Siekacza, serdeczne mu dobranoc powiedział, zgasił światło i zasnął snem dobrym.

Zaświtał dzień, dzień ważny dla pana Ignacego Targańca. Około godziny dwunastej z ogromnym koszykiem rozmaitych bakalij szedł do dworku pani Weroniki. Uśmiechał się wesoło, pełen myśli najlepszych. W długie konkury nie będzie się bawił; za dwa, trzy tygodnie... zagrają kościelne organy i ksiądz Cyryak połączy szczęśliwych... Podchodził do bramy domku swojej bogdanki, gdy nagle drgnął i stanął jak wryty.

Piękny rumak stał uwiązany do sztachet, skubał wyzierające z ogródka główki rozkwitłych malw, ale jeźdźca na nim nie było. Z dworku dolatywał wesoły śmiech Anusi i towarzyszący jej głos mężczyzny.

— A to co za gość? — syknął.

Postawił koszyk z pomarańczami na ławce w ganku i szybko wszedł do salki.

— Bolesław! — zawołał nagle.

— Ignaś! — odpowiedział, podnosząc się z siedzenia, Ruszczyc.

Zbliżył się do dawnego kolegi i w ramiona go ujął.

— Powoli, panie szlachcic! — odezwał się Targaniec, unikając uścisków przyjaciela. — Może powalasz się koło kupca, który cukier i pieprz sprzedaje...

Bolesław śmiać się zaczął.

— Zawsześ ten sam!

— A cóż? myślałeś może, że przejdę na waszą wiarę?

— Nie rozpoczynajże swarów, tutaj przynajmniej — rzekł Ruszczyc.

— Dlaczego?

— Co pannie Annie do naszych dawnych kłótni i przekonań?

— A co tobie do panny Anny? — zapytał Ignacy szorstko.

Bolesław zmierzył go oczyma. Anusia zdawała się być zakłopotaną niespodziewanym sporem.

— I to po długich latach niewidzenia tak się spotykają dawni koledzy? — odezwała się z uśmiechem. — Pan Bolesław ma słuszność, przy mnie kłócić się nie wolno.

— Aa! — rzekł Ignacy z przyciskiem — ma słuszność... Zapewne! szlachcic zawsze ma słuszność...

— Nie bądźże dziwakiem.

— Ja jestem kupcem, a ten przydomek panu zostawiam.

Bolesław zczerwieniał.

— Słuchaj, Ignacy — odezwał się. — Sądzę, że możemy być dobrymi przyjaciołmi, choć...

— Jesteś ty Ruszczycem, a ja Targańcem... co! — dokończył Ignacy.

— Uprzedzasz wyrazy... Choć miałem powiedzieć, rozdzielają nas pewne przekonania.

— Pan syn wojewodów, a ja nawet imienia swojego dziadka nie pamiętam.

— Cóżem winien — zaśmiał się Bolesław — że, jeżelibym i nie chciał nawet, muszę być synem swojego ojca, wnukiem dziadka, a prownukiem? Fatalność!... lecz daj radę na to!

— Można się nie przyznawać.

— Z jakiej racyi, pytam?

— Z tej, że mnieby nie przynosiło zaszczytu być potomkiem opijasów, pieniaczy i mieć w żyłach swoich zepsutą krew tych przodków sławnych.

— Mieszasz wyrazy; zkąd sława?

— Z wybujałej fantazyi waszej, z przywidzeń chorobliwych, z ubóstwienia warchołów!... Oto wasza tradycya... i po was ta sama dzieciom zostanie, nieodrodni „pana kochanka" synkowie!

Bolesław poruszył się.

— Plwasz na nas i cały ród Krzysztoforów — rzekł z mocą — choć on coś posiał, coś pozostawił po sobie. Nie chciałem, lecz teraz pytam: cóżeś ty zrobił?

— Ja sprzedaję pomarańcze i nie strwoniłem fortuny, której mi ojcowie nie zostawili, lecz własną pracą doszedłem do fortuny.

— To dla siebie... Dalej!

— Dałem przykład, jak się dźwigać i na mnie patrząc, mogą ci, co nie umieją, nauczyć się pracować. Z Krzysztoforami nie mam nic do czynienia i dobrze, bo nie mam nic... do zapomnienia! — dodał z przyciskiem.

Chodziła dawno smutna legenda o rodzie Krzysztoforowym. Niegdyś matka licznej Krzysztoforów rodziny leżała na łożu boleści, złożona ciężką chorobą, a synowie ją odbiegli. Przyszła chwila skonania — wołała dzieci, lecz ich ogarnął karnawałowy szał. Umarła z klątwą na ustach. I oto czwarte pokolenie do grobu się kładło z brzemieniem przekleństwa. Żaden z pierworodnych własną nie umarł śmiercią, najczęściej zabijały ich pioruny. Ignacy wiedział o tej tradycyi rodu i dziś nią, jak ostrzem, uderzył w piersi prasyna.

— Rozumiem, co mówisz — rzekł głucho Bolesław. — Patrz, drżą mi usta, na czole pot zimny czuję... Wspominasz o winie wielkiej...

— Wy do krasomówstwa dar macie — przerwał Ignacy. — Tyle tylko i po was zostało!

— O, mój wieszczu, stój!...

— Kłania ci się szlachcic karmazyn, który omdlewał na ruinach Kolizeum i kiwał mieczem Orlanda.

Anusia podniosła się nagle.

— A! ubawiliśmy panią? — zwracając się do niej, odezwał się Bolesław.

— Nie bardzo.

Zaśmiała się.

— Chodźmy do ogrodu lepiej. Może tam panowie grzeczniejsi będą i ze mną rozmawiać zechcą. Dzień tak piękny... szkoda go w pokoju przesiedzieć...

Na głowę włożyła ubrany kwiatami, o rondzie szerokiem, kapelusz pasterski i dała hasło do przechadzki.

Wyszli wszyscy troje; pani Weronika miała później nadejść, ale zatrzymał ją jakiś wypadek w gospodarstwie. Anusia szła pośrodku towarzyszących jej panów.

Rozmowę prowadzili żywą; prawda, że tylko Bolesław i panna Anna oddani jej byli, bo Ignacy spochmurniał czegoś, milczał i przechodząc koło krzaków leszczyny, rwał liście, gniótł w dłoni i ciskał na ziemię; spotkane na drodze kretowisko kopnął nogą; a jeżeli odezwał się, to czuć było, że gryźć chciał i kąsać. Anna i Ruszczyc nie zważali jednak na te wybryki złego humoru — gwarzyli swobodnie, śmiejąc się. Przeszli ogródek, na łąkę weszli — jasna szyba stawu zabłysła przed nimi. Bolesław spojrzał na pannę Annę, która skraśniała. Ignacy porwał dużą bryłę ziemi, cisnął na wodę i przezroczystą powierzchnię zmącił.

— Co panu jest? — spytała Anusia.

— Objaw dobrego humoru — mruknął Ignacy.

Zaśmiano się.

Bolesław nachylił się i szepnął:

— Zakochany w pani; a pani?

— Nie! — odpowiedziała krótko.

Bolesław uderzył w dłoń.

— Co tam państwo szepczecie? — zapytał Targaniec.

— Powiedziałem pannie Annie zagadkę jedną.

— Jaką?

— E, nie odgadniesz!

— Czy i ten dar ma być równie szlacheckim tylko przywilejem?

— Nieznośny jesteś... Słuchaj zatem:

Ma zęby jak piła — nie jest jednak piłką,
Ma żądło jak osa — nie jest jednak osą,
Skrzydła fantazyi daleko go niosą,
Traci aż rzeczy codziennych świadomość...
Dysputować z nim niemiło.
Co to za jegomość?

Anusia serdecznym parsknęła śmiechem. Ignacy zadumał się. Był tak roztargniony, że myśli nie umiał zebrać.

— Koło młyńskie, czy co? — rzekł po chwili.

— A widzisz, że nie zgadłeś. Kalafiory!...

Targaniec zupełnie zbił się z pantałyku. Bolesław z Anusią serdecznie się śmiali.

Ten śmiech, ta poufała wesołość irytowały Ignacego. Nie nad rozwiązaniem zagadki myślał, ale nad stanowczem rozmówieniem się z Bolesławem. To też gdy wrócili do domu i Ruszczyc pożegnał panie, Ignacy uczynił to samo — i poszedłszy do Bolesława, który odwiązywał konia od sztachet, odezwał się:

— Może pozwolisz odprowadzić siebie nieco? Mam ci coś do powiedzenia.

— Z ochotą! Sądzę, że zechcesz nawet po koleżeńsku mnie odwiedzić.

Ignacy nic nie odpowiedział, zaciął usta i w milczeniu szedł koło Ruszczyca.

Tak upłynął dobry kwadrans.

— Co miałeś mówić? — zapytał Bolesław.

Ignacy stanął.

— Dlaczego w drogę mi wchodzisz, ty? — odezwał się ze zgrzytem.

Bolesław dumnie głowę podniósł.

— Nie rozumiem — odpowiedział.

— Czy ty masz zamiar konkurować o pannę Annę?

— Wiem tylko, że nie mam zamiaru z myśli moich tłumaczyć się przed tobą.

Ignacy spuścił z tonu.

— Mówmy po koleżeńsku — szepnął.

— A, to co innego! — odpowiedział Bolesław.

— Więc?

— Mam! — padło krótko.

Ignacy drgnął.

— Ty?...

— Ja!

Targaniec czuł, że go coś w gardle dławiło.

— Zkąd tak nagłe postanowienie? — wyszeptał.

— Czy mi nie wolno o własnej przyszłości pomyśleć?

— Wolno, wolno! wam wszystko wolno!...

— Batem chłopa oćwiczyć i mnie stanąć w poprzek kamieniem! Ale to tylko jest kaprys pański, fantazya! Wczoraj przyjechałeś, a dziś... postanowienie!... Cha, cha, cha! Ustępuję placu i życzę panu powodzenia.

Ukłonił się i miał odchodzić. Bolesław postąpił ku niemu.

— Dlaczego masz ustępować? Równe mamy prawa, a wybór nie od nas zależy.

— Lecz wiadomo, na kogo padnie. Za panem są pewne przywileje, jest to coś, choć zmurszałe, lecz posiadające moc narkotyku. Macie woń jakąś, odurzającą, zgnilizny. Pan możesz grać na pewno, ja nie. Więc ustępuję przed świecącem... próchnem!

— Nie!... ja odstępuję — odezwał się głosem podniesionym Bolesław. — Ale pod jednym warunkiem. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy nie pozyskasz serca panny Anny, wstępuję w utracone dziś prawa.

Ignacy odetchnął, lecz spytał:

— A przez te trzy miesiące cóż będziesz robił?

— Widzieć mnie ani wiedzieć o mnie nie będzie!

— Słowo?

— No, tego, który ci się próchnem być zdaje — dodał z uśmiechem Bolesław. — Ale...

— Oho!...

— Ty odwiedzać mnie będziesz... bo przecie muszę wiedzieć, jak rzeczy stoją.

Ignacy zgodził się i uspokojony powrócił do siebie. Rad był, że udało mu się tak łatwo przerwać nitkę, która mogłaby się w mocny węzeł splątać. Trzy miesiące to spory kawał czasu. Jeżeli Anusi i goretsza myśl jakaś błysnęła, to stłumi ją obojętność Bolesława, to niedawanie znaku o sobie, a zapomnienie zupełne o niej. Powody będą jej nieznane, zostanie fakt. Zresztą o jej serce był spokojny. Miłość nie rodzi się na poczekaniu. Mogłaby się rozwinąć, gdyby Bolesław był częstym w domu pani Weroniki gościem, a tego właśnie nie będzie.

Zaszedł do księdza, który z aptekarzem czekał na niego i zasiadł do preferansa z kotłem.

— Ho, ho! coś tobie, mości dobrodzieju, musiało pójść po maśle! — zawołał ksiądz Cyryak, widząc dobry humor Targańca.

— U mnie inaczej nie idzie, gram zawsze na pewno — odparł kupiec.

— Pewność nie jest fundamentem, na którym się buduje gmach wiecznotrwały. Niejednokrotnie rodzi się jej przyrodnia siostra, której na imię rozczarowanie — rzekł aptekarz.

— Tylko nie w tym razie — mruknął Ignacy.

— W każdym, ja powiadam!

— Grasz pan rolę delfickiej Pytyi, ale i jej przepowiednie nie zawsze się udawały.

— Ryra bien, ki ryra le durnie — rzucił znów pan Onufry. — Rozumie pan?

— Gdyby to zdanie przełożył pan na język francuski, możebym pojął.

— Pas! — odezwał się proboszcz.

— Dwa pasy! — rzekł aptekarz.

— Ośm w kiery! — odezwał się Targaniec.

— „Wyszedł pies," — mruknął ksiądz Cyryak i gra się rozpoczęła.

Bolesław dziwnie smutny do domu wrócił. Czuł, że trzy miesiące, w ciągu których miał Anny nie widzieć, ani się jej pokazywać, nieskończenie długie mu będą. I rzeczywiście. Zleniwiało słońce, dni wlokły się coraz wolniej, noce końca nie miały. O Anusi myślał więcej, niżby to może było innym razem. I właśnie dlatego, że nie mógł jej widzieć, widzieć pragnął; i dlatego, że nie mógł starać się o miłość, pokochał. Dnie całe przepędzał w towarzystwie ojca, albo z Siekaczem w dalekie lasy na polowanie chodził; do miasteczka nie zazierał, nawet księdza proboszcza odwiedzić nie mógł, z obawy, by tam jej nie spotkać. Odwiedzał dalszych sąsiadów, słuchał komplementów sąsiadek, chwytał z ukosa spojrzenia kobiet, lecz myślał o Anusi. Pan Krzysztof rad był tym odwiedzinom — niejeden w okolicy był dom zamożny, niejeden chciał z domem jego się połączyć. Bolesław był perłą młodzieży, pan Krzysztof zaś pragnął mieć wnuka.

— Cóż tam, Jacusiu, hm?... — mrugał na starego wiarusa po każdej nowej wizycie syna.

— Szuka — odpowiada Siekacz, przykładając dwa palce do łona.

Ignacy tymczasem codziennym gościem był w domu pani Weroniki. Uprzejmie, jak zawsze, przyjmowany był przez panienkę, starał się jej łaskę zaskarbić. Pani Weronika szeptała mu na ucho, że u dziewczyny śpi serce jeszcze, ale on rozbudzić je może i powinien. Oboje więc pracowali nad tem rozbudzeniem i zdawało się im, że trud ich na marne nie szedł. Ignacy upewniał się przynajmniej, że panna Anna o Bolesławie nie myśli. To było pół wygranej. Nie wspominał o nim nigdy, ona o niego nie zapytywała; po paru tygodniach tylko jakiś smutek czoło jej pokrył, a usta ani razu nie zadzwoniły śmiechem. Ignacy myślał, że to był początek rozbudzenia się uczuć.

Konkury przedłużały się, matka nalegała na córkę, by długiem rozmyślaniem nie męczyła starającego się.

— I cóż, Anusiu? — zapytywała.

— Jeszcze tydzień, mamo.

Upływał tydzień.

— Anusiu, cóż? — pytała znów matka.

— Tydzień jeszcze, mamo! — prosiła.

Po upływie miesiąca Anusia czuła się zmęczoną. Zamiast lgnąć coraz silniej do pana Ignacego, odtrącała od siebie myśl nawet oddania mu swej ręki. Była w jej sercu gołębia cisza, w której panował Bolesław. I gdy on w jej sercu wszechwładztwo swoje rozpościerał, Ignacy nikł, malał, tracił tę odrobinę przyjaźni nawet, jaką się dawniej cieszył. Nużyły ją odwiedziny jego, krępowała obecność. Gdy z tkliwem słowem do niej się zwracał, milczała; nie nauczono jej kłamać, a tego co czuła, powiedzieć nie mogła. Mijały dnie, tygodnie, miesiąc jeden i drugi upłynął — Bolesław się nie zjawiał.

Anna uczuła ból w sercu, poznała cierpienie.

Kochała!

Gdyby ją spytano dziś o to, spokojnie lecz głośno powiedziałaby:

— Kocham!

Ignacy nie widział nic, był pewny siebie.

O Ruszczycu milczał.

Tak przeszły dwa miesiące z górą.

Pewnego dnia przypomniał sobie o słowie, danem Bolesławowi. Postanowił wybrać się do niego, tembardziej, że przekonany był, iż rywal o chwilowej miłostce zapomniał. Wiedział o sąsiedzkich odwiedzinach, o spacerach, na których ścieśnionem kołem płeć piękna otaczała młodego Ruszczyca. Zabawy i polowania wygnały szlachcicowi amory z głowy.

O tych rozrywkach syna Krzysztofa wiedziała i Anna — sąsiedzi dostarczali szczegółów. Anusia słuchała tych opowiadań z kamiennym spokojem; tylko gdy do snu się kładła, duże łzy po policzkach jej biegły.

Pan Ignacy Targaniec udał się do Krzysztoforów; poważne szczekanie brytanów oznajmiało gościa. Z dworu wyszedł Siekacz i nakazawszy psom subordynacyę, poszedł do przybyłego.

— Pan Bolesław jest?

— W portretowej sali z panem.

— Mogę się widzieć?

— Proszę!

Jacenty szeroko drzwi otworzył i głośno zaanonsował:

— Pan Ignacy Targaniec.

Bolesław, który z ojcem rozmawiał, powstał szybko i wyciągnął rękę do dawnego kolegi. Pan Krzysztof uniósł nieco czoła, ściągnął krzaczaste brwi, oczy przymrużył i gładząc mleczną brodę, lekkim ruchem głowy powitał niezbyt lubianego gościa.

— Pana dobrodzieja zawsze można zastać na rozmowie z antenatami.

— Tak jak pana sprzedającego pomarańcze — odrzucił stary.

Ignacy chciał coś odpowiedzieć, ale go powstrzymał wzrok Bolesława.

— Chodź do mego gabinetu — odezwał się młody Ruszczyc. — Ojciec po obiedzie zwykle drzemie, tu przeszkadzać mu będziemy.

Pochylił się, ucałował ojca w ramię — i otrzymawszy od niego pocałunek w czoło, wraz z Ignacem opuścił salę.

— Może pójdziemy do ogrodu? — zapytał gościa.

— I owszem!... w waszym dworze za dużo jest stęchlizny.

Bolesław zaśmiał się.

— Ojciec mój odpowiedziałby ci, że u niego pomarańcze nie odświeżają powietrza.

— Nie odrodziłeś się i ty od mamuciego rodu! — sarknął Targaniec.

— Mnie się zdaje, że czas już wielki, byśmy przestali próbować na sobie ostrza dowcipów. Nie rozdrażniać się nam wzajem, ale iść razem!

— To trudno — odrzekł gość. — Zdrowa i silna latorośl jałowego nie trzyma się gruntu.

— Skończmy rozmowę! — rzekł Bolesław.

Doszli do altany, otoczonej wiotkiemi gałązkami dzikich winogron. Drewniane ławy otaczały ją wkoło, w pośrodku stał stół kamienny. Usiedli w milczeniu. Bolesłow był zadumany, Ignacy z pod wąsa się uśmiechał.

Górą przelatywał wiatr i trącał zielone gałązki wijącej się rośliny. W niewielkiem oddaleniu z cieniów modrzewi i lip wyzierały łamane dachy szlacheckich dworów; jeden z nich był dworkiem pani Weroniki, ale otulony tak liśćmi i konarami drzew, że tylko dwa białe kominy z altanki dostrzedz można było.

Między dawnymi kolegami panowało milczenie. Po chwili Ruszczyc zapytał:

— Cóż panna Anna?

— Nie myśli o tobie — odparł Ignacy.

— Ale czy o tobie myśli?

— Bez wątpienia! Dziś o jej rękę formalnie się oświadczam. Zbladłeś? — zapytał, patrząc w oczy Bolesława.

— I cóż cię to obchodzić może? Lękałeś się współzawodnictwa... i próchno zostawiło zdrowej latorośli kwiat miłości, wyrzekając się może własnego szczęścia. Zawiści w mojem sercu nie znajdziesz, prócz dobrych życzeń dla niej i dla ciebie.

Ignacy poruszył się.

— Pozujesz na rycerza — mruknął — i chcesz, bym ci przypiął ostrogi. Ba, mości panie, musicie się obchodzić bez giermków teraz!

Wstał, podał rękę, którą Bolesław machinalnie uścisnął, i wyszedł z altany.

Czuł się zwycięzca, ale nie miał spokoju wielkiego zwycięzcy. Rad był, że odparował szlachcica, ale burzyło się coś we wnętrzu jego istoty. Zdawało mu się, że Bolesław chciał go upokorzyć ofiarą, jaką dla niego uczynił — i to go gniewało.

Zwyciężył, lecz tylko dlatego, że wróg dumnie ustąpił z pola.

Bolesław pozostał w altanie w jakiejś ciężkiej zadumie. Siedział długo nieruchomy, zgnębiony, wreszcie powstał, oparł się o słup, podtrzymujący dach altanki i wzrok na dworki obrócił.

— Dlaczegom poznał ciebie! — z głuchem westchnieniem wyszeptał.

— Kogo? — zapytał głos tuż za nim i Bolesław uczuł na swojem ramieniu dłoń czyjejś dotknięcie.

Obrócił się.

Pan Krzysztof stał przed nim.

— Kogo? — zapytał po raz drugi.

— Anusię Blińską.

— Więc?...

Bolesław opowiedział mu rzecz całą.

— Aaa! rzekł Ruszczyc i podtrzymywany przez syna, usiadł na ławie. Siwemi oczyma patrzał długo w twarz stojącego przed nim młodzieńca, jakby chciał myśli jego czy uczucia wybadać, a po chwili szepnął:

— Krzysztofor!...

Podniósł lewą rękę, którą położył na ramieniu Bolesława.

— Tak... słowo! — szeptał. — Runąć ci wolno, lecz zdradzić... nigdy! Dość hańby i krwawych cięć, jakie nam w piersi rzucono; dumą zasług i czynów zmyj Krzysztoforom plamę rodu!...

Głos dziada drżał, łamał się; wiatr mleczną brodę szeroko po piersi rozrzucił i chwiał srebrnym jej włosem. Bolesław przykląkł u kolan ojca i czuł trzęsące się dłonie jego na czole swojem, skroniach i głowie.

— Krzysztofor!... — szepnął raz jeszcze starzec.

— — — — — — — — — —

Ignacy, wzburzony, wszedł do domu pani Weroniki.

Matka siedziała nad jakąś robotą, Anusia w głos czytała. Ignacy zauważył, że bledszą niż zwylke była, sine plamki zarysowały się jej pod oczami.

Pani Weronika wskazała gościowi krzesło, Anusia opuściła książkę na kolana i smutnemi oczyma patrzyła w ziemię.

— Czy od siebie pan idzie? — spytała matka po chwili.

— Byłem u Bolesława — wypadło z ust pana Ignacego.

Anusia szybko podniosła głowę, rumieńce wybiegły jej na twarz.

Ignacy uczuł ukłócie w serce.

— Czego się pani zarumieniła? — zapytał.

Dziewczyna sponsowiała jeszcze więcej, ale wzruszyszyła ramionami i uśmiech jakiś smutny przez usta jej przeleciał. Po chwili rumieńce znikły, podniosła oczy i spytała:

— Nie pytał pan czasem pana Bolesława, dlaczego nas nie odwiedza?

Ignacy drgnął.

— Czy pani tęskni za nim? — zapytał szorstko.

— Tak — odpowiedziała bez namysłu.

Pani Weronika spojrzała na córkę wzrokiem przerażenia. Ignacy rzucił się jak żbik raniony.

— A pani wie, że Bolesław o pani nie myśli? — wyrzucił ochrypłym jakimś głosem, nie mogąc zapanować nad sobą.

Anusia spojrzała na niego oczyma, w wyrazie których nie miłość dostrzegł. Cierpienie przekształciło ją; czuła się kobietą, która sercem swojem dowolnie rozporządzać może. Chciała raz z błędu wyprowadzić Ignacego; powstrzymywał ją dotąd wzgląd na matkę, która tego związku pragnęła. Ale w tej chwili uczuła się obrażoną i wstrętną grę już raz skończyć chciała.

— Pan Bolesław o mnie nie myśli, powiedziałeś pan; wiem o tem!... ale cóż ja pocznę z pamięcią swoją?

— Anusiu! co ty pleciesz? — zawołała matka.

W oczach dziewczyny stanęły dwie duże, łzy, ale mówiła głosem spokojnym, choć drżącym:

— Uczyłaś mnie, mamo, zawsze mówić prawdę; na cóż

mam kłamać w tak ważnej chwili i łudzić pana Ignacego nadzieją, której nie będę mogła nigdy urzeczywistnić? Nie kochając, nie oddam się i on nie weźmie za żonę kobiety niekochającej. Prawda, panie Ignacy?

Ignacy stał oparty o okno, targał wąsy, a z oczu mu skry się sypały. Czuł, że przegrał walną bitwę, — że, jak Napoleon pod Waterloo, zawcześnie słał o zwycięztwie depesze.

— Tak! — zawołał — masz pani słuszność! Kobieta, która ma być moją żoną, musi mnie kochać! Żegnam panie!

Skłonił się i wybiegł na ulicę.

Dobiegał do swojego mieszkania, gdy drogę mu zaszedł ksiądz Cyryak, który ze zwykłej przechadzki powracał. Ksiądz nie widział go wcale. Szedł szybko, pochylając się to na lewo, to na prawo, do czego go zmuszała okazała tusza, i w takt stawianym krokom nucił pół głosem: „Rwał chłop..." Natknął się na Ignacego, wymawiając: „Wszedł pies."

— Do stu dyabłów! — wrzasnął Targaniec — a... przepraszam!

Wyminął księdza i wpadł, jak szalony, do swego sklepu.

Ksiądz Cyryak zatrzymał się.

— Sfiksował!... — mruknął do siebie.

Pośpiesznym krokiem wbiegł do apteki.

— Panie Onufry! panie Onufry! Targaniec sfiksował! — zawołał przestraszony nieco, w drzwiach stając.

Ale pan Onufry nie przeraził się wcale, — wiedział bowiem, że dzień dzisiejszy Ignacy przeznaczył na oświadczenie się o rękę panny Anny. Uśmiechnął się, włożył monokl, strzepnął palcem resztę jakiegoś proszku, trzymanego w lewej ręce na karcie, i tak rzekł:

— Z oszukanego człowieka, który bezwolnie wpadł w zatrzask fantazyjnych kombinacyj własnego rozsądku, cieszyć się nie godzi; ale są indywidua które, oplątane rzekomą pewnością wytworów swej imaginacyi, same się narażają na drwiny ludzi, rozsądnie rzecz biorących.

Umilkł; zapanowało milczenie.

— No i co z tego? — zapytał ksiądz Cyryak.

— Ja mówiłem zawsze: Ki ryra...

— Ale co z tego? — zapytał ksiądz Cyryak niecierpliwie.

— Oświadczył się o rękę panny Anny i...

Tu puknął ustami.

— Odpaliła? — zakrzyknął proboszcz.

— Najaktualniej... ja powiadam, i musiało go to wzburzyć.

Ksiądz poruszył głową na lewo i prawo, i wyszedł.

W połowie drogi zatrzymał się, — ruch jego prawicy wskazywał, że o czemś myślał, zastanawiał się nad czemś. Księdzu nietajną była umowa, jaka ongi zapadła między Bolesławem a Ignacym w przedmiocie konkurów o rękę panny Blińskiej. Targaniec, będąc pewnym powodzenia, mówił głośno o stanowczej przegranej Ruszczyca; teraz, gdy mu się tak fatalnie nie powiodło, gdy widział, że serce Anusi nie dla niego uderza, powinien zawiadomić Bolesława, że wolną już ma drogę do domku pani Weroniki. Uczyni to, czy też w przystępie gniewu lub żalu, da wodze uczuciom nienawiści i o danem zapomni przyrzeczeniu?

Nad tem myślał ksiądz Cyryak; i jakkolwiek czuł głód po przechadzce, której celem było najczęściej odwiedzanie chorych i zaopatrywanie w codzienne potrzeby wydziedziczonych, zawrócił w pół drogi i wszedł do mieszkania Targańca.

Przez wpółotwarte drzwi pokoju posłyszał szybki chód pana Ignacego i urywane słowa, które zdawały się wypływać jakby z krtani zdławionej. Mówił głośno — widać nie sam był; po chwili umilkł, zmęczony, a pan Onufry Kopytko głos zabrał:

— Nie przyszedłem naigrawać się, ale podzielić nieszczęście, jakiego złym, lecz nieomylnym, jak zawsze, prorokiem byłem. Ja powiadam, że oni zawsze są dla nas kamieniem obrazy; w tym wypadku zachodzi nawet drażliwość indywidualnie drażliwa: bo pomijając smutny ewenement, że zostałeś wygnany z nieosaczonej przez wroga fortecy, do której on nieomieszka tryumfalnego pochodu uczynić, lecz nawet o otwarciu bram takowej musisz go zawiadomić.

— Co ja go mam zawiadamiać? — rzucił się Targaniec — ja... i wszystkie mosty spalić za sobą, w chwili, gdy Bolesław jest przekonany, że wszelkie nici, łączące go z panną Anną, pękły? Ja mam mu pomagać do nawiązania ich na nowo? Cha, cha, cha!... byłbym zanadto naiwny!...

— Za uczciwy chyba, mości dobrodzieju! — odezwał się ksiądz Cyryak, w drzwiach stając.

Ignacy drgnął, płomienie przez policzki mu przebiegły.

— Bolesław może dowiedzieć się sam — odparł stłumionym głosem.

— Dowiadywać się, mości dobrodzieju, nie będzie, jak nie wchodził ci w drogę, choć mógł.

— Tem gorzej dla niego — wybuchnął Targaniec.

— No i dla ciebie, mości dobrodzieju.

— Dla mnie?

— Bo w naiwność twoję uwierzyćbym nie mógł, a z uczciwością wziąłbyś rozwód, co byłoby dowodem złego z nią twojego pożycia. Pozostałoby wtedy... Pfe! słówka tego wymówić mi się nie chce.

— Śmiało, księże dobrodzieju, śmiało!

— No, szelmowstwo, jeżeli już chcesz koniecznie.

Ignacy zaciął zęby; na czoło mu dwie duże brózdy wybiegły.

— Ksiądz proboszcz zawiadomić Bolesława może — szepnął.

— On zechce potwierdzenia z twojej strony. A wtedy...

Targaniec milczał.

Ksiądz zbliżył się i położył dłoń na jego ramieniu.

— Mości dobrodzieju! — rzekł poważnie — ty nie zechcesz, ażebym przestał szanować ciebie.

Zawrócił się i, dając znak aptekarzowi, wyszedł z nim razem.

Ignacy pozostał sam.

Czas jakiś chodził niespokojnie wzdłuż i wszerz pokoju, rozdęte nozdrza świadczyły o walce, jaką wiódł z sobą. Wreszcie zatrzymał się u drzwi, przez które wyszedł proboszcz, i uspokajać się zaczął.

Po chwili usiadł przy biurku i napisał do Bolesława list krótki:

„Oświadczyłem się i wziąłem odkosza. Panna Anna powiedziała mi wręcz, że kocha świecące próchno.

Ignacy."

Słońce się miało ku zachodowi, gdy tętent kopyt końskich zabrzmiał przed domem pani Weroniki. Anusia w ogrodzie podlewała kwiaty; krzyknęła nagle, ale w pół krzyku umilkła. Silna ręka Bolesława ujęła jej kibić, główka dziewczyny spoczęła na ramieniu kochanka, a z oczu jej biegły duże, perliste łzy.

Upłynęło miesięcy kilka; stary dwór Krzysztoforów ożywił się przybyciem drogiego gościa. Pan Krzysztof do serca przytulił synowę i, patrząc w jej oczy, rozjaśnione wielkiem, szczęściem, szepnął:

— Wnuka mi daj!

Po roku zakwiliło dziecię w kolebce.

Stary Siekacz przeważył je zaraz i zmierzył małe piąstki.

—Niedźwiedzie będzie walił — mruknął, — a juścić go po dziadku Krzysztofem nazwiemy!

Dnia tego Ignacy zapytał księdza Cyryaka:

— Co tam? Bolesławowi szczur się podobno narodził?...

— Ma być chłopiec jak malowany — odpowiedział proboszcz.

— O! oni wszyscy są malowani... na kolor zgniłego błota! — syknął Targaniec.

Bolesław przytulał do serca żonę-kochankę. Ignacy sprawdzał rachunki powiększających się dochodów.

Przez cały rok nie widział Ruszczyca. Unikał spotkania, omijał zdaleka miejscowość, na której panował dom Krzysztoforów. Wiedział jednak, że szczęście w dłonie biło w rozjaśnionych ścianach modrzewowego dworu.

A on?

Jeżeli nie był szczęśliwym w miłości, to na innem polu los mu był wierny. Sklep znów powiększył, wziął się naraz do kilku spekulacyjnych przedsiębiorstw i złoto kopał. Na kilka mil w promieniu mówiono o fortunie Targańca. Teraz chciał się spotkać z Bolesławem i spytać:

— A cóżeś ty zrobił?

Lecz nie na różach spać potomkom wyklętego rodu. Pamiętają o tem i ludzie i losy!

Dnia pewnego nadeszła chmura gromowa i błysnęły pioruny. Wicher się rozpętał i niósł tumany kurzu — uderzyła burza całą potęgą zniszczenia.

Było to o samej północy.

Targaniec ukrył się w sklepie i czekał przejścia nawałnicy, ale szum wichru się wzmagał, łoskot gromu wstrząsał fundamentami murów, Ignacy przymknął okiennice i okna — położył się i zmożył go sen.

I śniło mu się, że był w starym Krysztoforów dworze, w sali portretów. I gdy burza zakołysała powietrzem, a gromy wężem długim po ścianach przebiegały, zachwiały się antenaty Ruszczyców i z ram swych wyszły. Targańca strach przejął. Chciał uciekać, ale one zaszły mu drogę. Rzucił się do jednej ze ścian, ale ze ścian krew bryzgnęła.

Targaniec krzyknął i obudził się.

I zdawało mu się, że słyszy jęki i krzyki, że uderzyły dzwony i biją na gwałt.

Zerwał się z pościeli i słuchał.

Z szumem wichrów, z lamentem burzy płynęła muzyka dzwonów.

Uderzył piorun...

Chwila ciszy; potem wzmógł się huragan. Tętent kopyt zadudnił u wrót i gwałtownie zapukano do drzwi.

— Ignacy! — zawołał głos jakiś z zewnątrz.

Targaniec poznał głos Bolesława.

Skoczył, na ścieżaj drzwi rozwarł i stanął jak w ziemię wryty.

Na tle purpurowego ognia na koniu siwym siedział Bolesław, a nad nim i za nim jakiś chaos, jakiś zamęt piekielny panował. Trąba powietrzna unosiła dęby stuletnie i dachy modrzewiowych dworków, gwizd wichru mieszał się z lamentem dzwonów, kłębiły się chmury czarne, siekane biczem piorunów, a krwawa łuna pożaru oświecała niebo i ziemię.

— Krzysztofory w płomieniach! za mną! — zagrzmiał [illegible]esława.

[illegible] konia i zniknął w dymach, które, pędzone oddе[illegible]brów, sunęły po ziemi jak padalce.

[illegible]arganiec stał chwilę, rażony okropnością widoku. [illegible]szcie drgnął i skoczył do biurka, chcąc ukryć przy sobie pieniądze i papiery procentowe, ale się zawrócił, przed dom wybiegł, by zmierzyć ogrom nieszczęścia.

Wiatr niósł płomienie i dym na dwory i dworki, targał tylko czuby domów żydowskich i wstrząsał ścianami jego mieszkania. Paliły się siedziby szlacheckie, paliły się ogniem krwawym.

Ignacy odetchnął.

Burza na Krzysztofory poszła, jęki i krzyki biegły ztamtąd, płomienie rozlewały się szeroko i szły dalej i dalej.

W modrzewiowym dworze pana Krzysztofa nie spano tej nocy. W portretowej sali siedziała Anna, drżącemi usty modlitwy szepcąc; w kolebce dziecko spało. Pan Krzysztof, zanurzony w głębokim fotelu, zostawał w milczeniu kamiennem; czoło miał o dłoń wsparte, mleczną brodę na piersi rozwianą. W tem grom straszliwy rozdarł powietrze z błyskiem ognistym, burza uderzyła w ściany dworu i jakiś łoskot głuchy zabrzmiał daleko — hen.

Dziad zerwał się i krzyknął:

— Anno!

Stał chwilę, dłoń w trąbkę zwiniętą do ucha przyłożył i patrzał w próżnię.

Słyszysz? — odezwał się — tętent!

Anna skoczyła i wybiegła na ganek.

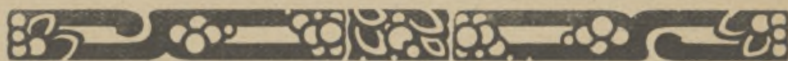
Wicher szumiał, warczały chmury gromowe, w powietrzu płynęły jęki dzwonów i głuchy trzask padających modrzewi, a wśród tej orgii tonów, szumu płomieni i burzy, brzmiał tętent głuchy. Wzmagał się, potężniał, rósł... coraz szybszy, gwałtowniejszy, bliższy... We wrotach ukazał się koń siwy, do ganku przypadł, drgnął, stęknął, zatoczył się i padł.

Anna krzyknęła.

Na koniu jeźdzca nie było.

— — — — — — — — — —

KONIEC.



Złota królewna.

Długie, długie wieki minęły od stworzenia świata.

Ród ludzki rozmnażał się, wzrastał w siłę i bogactwa, prowadząc handel zamienny, obsiadał coraz to liczniej doliny rzek srebrnych, spadki gór siwobrodych, cieszył się szumem gajów świętych, wsłuchiwał w gędźbę wodnic śpiewających pod falami jezior, kochał świat i jego Stwórcę.

Od czasu do czasu opuszczał któryś ze śmielszej młodzieży ognisko rodzinne i ruszał w nieznane kraje. Żegnali go rodzice z rozpaczą, nie marząc nawet, by wrócił... żegnali go rówieśnicy z zazdrością tajoną, a z poszanowaniem odwagi...

Mijały lata. Rodzice wspominali o straceńcu rzadko, zapominali o nim rówieśnicy, pochłonięci pracą codzienną.

Gdy wrócił który — imię jego zapisywano głęboko w sercu, bo wracał zwykle jako człek możny, wiodąc za sobą nieznane zwierzęta, zbóż gatunki nowe. A jeśli powracał nędzarzem i kaleką, otwierała mu drzwi chata każda, sadzała go u swego ogniska, karmiła i poiła chętnie, byle opowiadał swe przygody, byle malował słowem dźwięcznem nieznane piękności innych ziem i tych innych, nieznanych, ludzi.

Raz szedł jeden z takich straceńców długiem pasmem skał rozpalonych od żaru słonecznego; szedł przez wązkie doliny, zaniesione piaskiem, wymytym przed laty z łona pustyń rozległych. Szedł zmęczony, przygnębiony widokiem

skał siwych, graniczących z niebem szafirowem u szczytów, z ławą żółtą u stóp; cały ten krajobraz martwy był i straszny dla oczu, jak oblicze nieboszczyka.

Dzień miał się ku zachodowi; nie zieleniła się nigdzie barwa ożywcza roślinna, nie dobiegł do ucha nigdzie szmer fali ochładzającej. Cisza była tak bezwzględna, że wędrowiec brał czasem w ręce kamień, odłupany piorunem, i uderzał nim o ścianę skalną, by zrozumieć, że przecie nie ogłuchł.

Nagle w tej ciszy rozległ się płacz cichy, płacz niewieści, drżący w powietrzu nutą dziwnie bolesną. Zdawało się, że ogarnia on atomy wszystkie skalistych gór, chłodnących już po zachodzie, że idzie z pod ziemi, z wystających ścian się wyrywa — i tonie bez echa w ławie piaszczystej. Zdawało się, że uderza o szafiry niebios, że trąca o kule złote gwiazd. Płacz ten rósł i potężniał, przenikliwy, straszny wśród pustki i ciszy umarłych.

Zadrżał wędrowiec — lecz nie ulękło się wypróbowane w przygodach serce. Słuchał — i dech mu zaparło, bo płacz ten jęczał skargą rozpaczną, a beznadziejną w tem pustkowiu.

Zapominając o zmęczeniu rzucił się młodzieniec na prawo, na lewo, wdrapywał się na szczyty skał, przypadał uchem do stóp ich... Zewsząd głos ten brzmiał silny jednako i jednako bolesny... aż zaczął cichnąć... i skonał w ciemni nocnej.

Próżno wędrowiec wołał i wzywał, próżno uderzał o skały kamieniem — nikt już nie płakał; cisza kraj ten wzięła znowu w swe przedwieczne posiadanie.

Usnął w końcu podróżnik zmęczony, przytuliwszy się do kamienia.

Ledwo jednak słońce wstało, ledwo zaczęło ciepłym promieniem rozgrzewać członki zziębnięte człowieka — i ów płacz bolesny rozległ się znowu, wstrząsnął nim do głębi tak, że zapomniawszy o celu odległych podróży — szukał płaczącej.

Szukał długo, długo, aż znalazł wreszcie szczelinę, przez którą głośniej dochodził go jęk. Więc jął uderzać kamieniem, jął rozszerzać szczelinę.

Nie ustawał w pracy — choć umilkł płacz, nie ustawał — choć po zachodzie słońca znowu uderzył w przestworza; na krótko tylko usnął w nocy.

Pracował długo, oddalając się od czasu do czasu na dni parę dla zdobycia żywności w szczęśliwszej krainie. Pracował długo, aż dnia pewnego, gdy tylko zcichł płacz poranny, opadły ostatnie głazy, skały pod ciosem potężnym; wędrowiec znalazł się w grocie jaśniejącej, jakby wybitą była światłem słońca.

A gdy tak stał zdumiony, wysunęła się z głębi postać dziewicza złotowłosa, położyła mu dłoń na ramieniu i przytuliła do piersi jego głowę płową. Po chwili odchyliła się i stała przed nim jasna i promienna z brylantami nieobeschłych łez na policzkach, w szatę ze złotogłowiu strojna, sznurem perłowym przepasana, tak piękna, że syn ziemi dalekiej upadł u stóp jej, a z ust wyrwał mu się okrzyk:

— Królewna!

Ona zaś, podniósłszy go, wskazała mu żółte ściany swego pałacu, powiodła go w tajne skarbce, napełnione kruszcem nieznanym wędrowcowi i rzekła:

— Iżeś mnie wybawił z więzienia — daję to wszystko tobie i braciom twoim... A wiedz, że kruszec ten złotem się zowie, wiedz, że ja jestem złotą królewną...

Znowu wiodła go dalej, by mu moc bogactwa jego okazać; wiodła przez groty i rzek podziemnych łożyska wyschłe, niby przez komnaty i kurytarze — on zaś miast na złoto patrzeć, wpatrywał się w jej cudne lica, a dobroć jaśniejąca z błękitnych oczu przewodniczki ośmieliła go. Więc podniósł na nią gorący promień źrenic płonących i rzekł:

— Królewno, kto cię więził?

Zwróciła się ku niemu pobladła, oparła się dłonią drobną o jego męskie ramię i odpowiedziała smutnie:

— Cztery córy miało złote słońce. Gdy dorosły rozdzieliło ono między nie bogactwa swoje wszystkie, dając czarnowłosej najstarszej ziemię rodzajną, i piaski lotne, i gliny wszelakie... Płomienistowłosa wzięła w wianie gwiazdy i osiadła w pałacu księżycowym... Trzecia otrzymała wody wraz z całem bogactwem ich, bo warkocze miała, niby wodorosty...

Lecz najwięcej kochało cudne słońce jasnowłosą córę najmłodszą i budowało dla niej pałace w łonie gór, wyściełając je złotem swych spojrzeń, skamieniałych w żarze uczuć serdecznych i dało jej we władanie wszystko złoto, srebro i wszystkie drogie kamienie.

Po latach kilku starsze trzy córy poślubiły ukochanych swoich — najmłodsza zaś nikomu nie oddała jeszcze serca. I żądał jej w zamężcie Wicher halny — lecz odparła, że lęka się chłodnych ust jego... Prosił o nią Błękit niebieski — lecz jej powietrza brakło w jego dzielnicy... W końcu zapragnął jej Szatan...

Lecz gdy i tego lękała się, wiedząc, że ogień żywiołem mu jest i mieszkaniem, przeklął Szatan wiano jej złote na nieszczęście każdemu, kto się go dotknie.

Więc ojciec Słońce przerażony osadził mię w tej grocie na pustyni wśród skał dzikich... i tyle, tyle lat nie widziałam nic, prócz skarbów moich skamieniałych!

Człowiecze! jeśli nie lękasz się przekleństw weź je...

A człowiek podniósł na nią oczy szafirowe, ciemne, objął ją spojrzeniem serdecznem i odparł głosem stłumionym:

— Chcę tylko ciebie...

Długo zmagały się ich źrenice płonące, aż podała mu obie ręce.

I przygarnął ją silnem ramieniem do piersi, wywiódł z groty podziemnej i do swojego poprowadził ją kraju... Tylko ani kruszyny złota nie wzięli, lękając się....

A grota pozostała otwarta dla wszystkich.



Mijały lata.

Szczęście panowało na ziemi, a najwięcej szczęścia było pod strzechą, gdzie pieśni wesołe nuciła złota królewna, gdzie blaskiem słonecznym patrzyły oczy jej cudne na silną postać ukochanego człowieka.

Nieraz w długie wieczory, gwarzyli razem o losach przeszłych, opowiadali dzieciom o dniu spotkania i używali pełni szczęścia.

Aż gdy nadszedł czas, umarł człowiek i za nim odeszła córa słońca... Pozostała jeno po nich gadka — bajka — i wspomnienie o wianie królewnej.

Długie lata szukali młodzi wędrownicy skarbów nieznanych, przez szatana przeklętych. Wreszcie odnaleźli je; weselili się tedy, cieszyli, ponieśli je na spady gór siwobrodych, nad modre fale rzek, w doliny zielenią błyszczące, na niziny falujące kłosem...

Rozgorzały do złota oczy niewiast, a pieściły się bryłkami stygnące ręce starców, którym się zdało, że ich rozgrzeje złoto, jak grzało słońce...

Oddawano za nie zboże i skóry — a brano pocałunki, kłamiące miłość i wszelkie bogactwo.

Ludzie przywykli do tego brzęku i pokochali [illegible] wszystko, zapomniawszy przekleństwa.

A szatan śmieje się i cieszy, bo rodzajowi [illegible] klątwę przyniosło złote wiano królewnej i mści się na [illegible] zabraniając miłości, na drugich — dając im obłudę i [illegible]stwo, miast serca...